

Boże Narodzenie w Janaszowie (1939)



Janusz A. Ihnatowicz

Przyjazd

Gdy się na Boże Narodzenie przyjeżdża na wieś, powinien być lekki mróz drżący piórkami szronu w słonecznym powietrzu i biały wiejski śnieg. I powinno się jechać od kolei sanną dzwoniącą, rozświergotaną płozami, trzaskającą jak lód na stawie, gwiazdkową sanną.

A tu stacyjka tonie w mgłach i mżawce. Pociąg czarny i zachmurzony włókł się przez opłotki przedmieść, które jesień utrapiona wciąż pokrywa liszajami pleśni i nadgniłych kapuścianych liści; przez pola, co rozłożyły się sine i nieskończone w pomroce szarugi jak zniechęcone sny. Też bez końca. I zatrzymał się postępując nos w nos z betonowym wiaduktem szosy. Dym przytłoczony deszczem opiera się na semaforze zamykającym stacyjkę na klucz. A zresztą jest zmierzch.

Przed dworcem toniemy w błocie ziemi, sieczki i końskiego nawozu. I nie ma wymarzonych sanek lekkich jak puch, nie ma nawet karety, tego pudła tajemniczych wspaniałości w ciemnym wnętrzu pachnącego skórą i pluszem. Jest tylko furman, cztery folwarczne konie i ciężki wóz.

- Roztop taki, powiada, ze niczym innym nie przejedzie.

Tak się rozwiewa sen o przyjeździe w grząskich koleinach przed-dworcowego bagna.

Wóz wypełniony jest sianem: egzotyczna wiejska woń. Owinięty w szuby i kozuchy od słoty i wilgoci zapadasz się w elastyczną poduszkę, w szeleszczący stóg. Gdy się tak ciężko wspinamy ku wysokościami nasypu szosy, nasz pociąg pisnawszy gniewliwie raz jeszcze rzuca ku nam łopatę dymu i chowa się pod most. A my już dudnimy po asfalcie przez wieś.

Wieś jest osowiała jak i ten czarny grudniowy przed-wieczór. Odchylone od szosy chałupy plecami oparte o opłotki i sady szarych szkieletów. Okna puste mrokiem jak studnia bez wody. Oślepla wieś spowita w ślepnący dzień. Przed kościołem szeroka przestrzeń napełniona czczością zmierzchu. Tylko dalej między płotami księżego ogrodu odzywa się żałośnie krowa, ołowiana trąba na ostateczny sąd.

A niebo też ołowiane. Wieś za nami. Skrzypią koła. Kopyt mokre miękkie pac pac, to poszumy jak darcie płótna po kałużach. Gołe tarniny wzdłuż drogi to tu to tam wyrastają w zmartwiałą sosnę. Wrony jakby spłoszone klekotem wozu, wzbijają się, czarne krzyżyki, w czerniejące niebo. I zapadasz się wielbłądzie kołysanie sianowego grzbietu.

Gdy się budzisz jest noc i las. Korzenie uderzające raz po raz trach trach. Potem zachrobotyły tory kolejowe. Światełko i psy leśniczówki i znów milczenie mokrych sosen. Patrzysz w ciemność nieba i czarniejsze powoli sunące cienie gałęzi. Niebo się chwieje od dziur leśnego traktu jak wielkie wahanie usypiającego świata.

A potem jest dużo wrzawy w białej sieni. Senna kolacja w wielkiej jadalni, gdzie wiszą obrazy jakichś osób z wąsami i orzeł i pogoń po obu stronach drzwi do kuchni. Na stole długim jak świat, w półmroku jednej lampy o mlecznym kloszu w róże i fiołki, zsiadłe mleko i ziemniaki uwieńczone parą i kwiatami olbrzymich skwarek.

I wielkie łoże z oceaniczną pierzyną odpływające daleko, gdy wiatr śpiewać zaczyna w kominie, a za kominem świerszcz. A gdzieś, hen, na drugim końcu tego dryfowania, czarodziejski kraj - Wigilia i podchoinkowy skarbiec radości.



Dawna pocztówka

Piewca Beskidu Śląskiego. Paweł Łysek (1914-1978).

Florian Śmieja



Paweł Łysek

Przeglądam kilkunastoletnią korespondencję ze zmarłym w Nowym Jorku pedagogiem i pisarzem Pawłem Łyskiem. Wracają dawne lata, poznanie w Londynie, a potem gościna w jego amerykańskiej rezydencji *Beskid Ranch* na Long Island; wreszcie odwiedziny jego skromnego domu rodzinnego w Jaworzynce i grobu na cmentarzu w Istebnej.

Paweł urodzony w 1914 roku w Jaworzynce, studiował na Uniwersytecie Jagiellońskim w latach 1935-39. Po wybuchu wojny zbiegł przed poszukującą go policją niemiecką na Węgry, przedostał się stamtąd na Wyspy Brytyjskie i wstąpił do Polskiego Wojska. Kiedy skończyła się wojna, wyjechał do Stanów Zjednoczonych, gdzie podjął studia bibliotekarskie. Jako bibliotekarz i wykładowca pracował na *City University* w Nowym Jorku od 1952 roku do swojej śmierci w 1978.

Pierwsze próby literackie przerwała wojna. Łysek nie odłożył jednak pióra zupełnie: pisał sumiennie pamiętnik, który miał później wydać w dwu tomach pod tytułem: „Z Istebnej w świat” (1960) oraz „Poszło na marne” (1965). To w tych książkach opowiedział koleje ucieczki na Zachód, swoją służbę wojskową, niezłomną wiarę w

zwycięstwo słusznej sprawy, choć jednocześnie nie taił rozgoryczenia do aliantów, którzy nie wywiązywali się z zaciągniętych wobec Polski zobowiązań. Absolutna szczerść relacji i ich prostota, to wielkie zalety jego wspomnień i obserwacji zwyczajnego żołnierza uwikłanego w największy konflikt naszych czasów. Prawda tych tekstów jest oczywista, a bije z niej nieugięty idealizm młodego pokolenia Polaków wychowanych między wojnami.

W wydawanym przed laty piśmie młodych w Londynie omówiłem książki Łyska. Był mi za to wdzięczny i namawiał dyskretnie, bym napisał recenzje do publikacji bardziej znanych, jak „Wiadomości” Grydzewskiego czy „Kultura” Giedroycia. Przebywając w Stanach Zjednoczonych czuł się nazbyt oddalony od tych dwu znakomitych pism ukazujących się w Londynie i w Paryżu. Polubił też moje „poetyckie pióro”:

Bo to już ten poetycki styl zawsze lepiej okrasza nawet rzecz, która nie grzeszy specjalną wielkością. Oczywiście z pokorą przyjmę i wszelkie ujemności i niedoskonałości napisane szczerze, jak to winno być w każdej bezstronnej krytyce.

Mimo, że był człowiekiem nieśmiałym i nie miał doświadczenia z promocją książek i do tego własnych, rozumiał dylemat recenzentów.

...Pisanie omówień nie jest rzeczą specjalnie przyjemną, a zwłaszcza, gdy się osobiście zna autora; bo z jednej strony nie chce się urazić osoby, a z drugiej trzeba jednak kierować się obiektywizmem. Zdaję sobie też sprawę, że „Z Istebnej w świat” było rzeczą ciekawszą i więcej emocjonalną; zaś „Poszło na marne” – gdzie akcja odbywa się na dalekich tyłach – nie mogła tak bardzo zainteresować czytelnika – pisał w liście.

Czytając gwarą przetykane narracje, zarzuciłem mu bodaj nieuporządkowanie języka. Mało zdawałem sobie wówczas sprawę z tego, że przecież autor musiał się zmagać z płynnym zjawiskiem, gwarą nieskodyfikowaną, bez ustalonej gramatyki, słowników i innych wzorców, daleko od ludzi tym dialektem się posługujących. Niemniej Łysek od tych początków zajął się językiem bardzo intensywnie i zrobił w kolejnych publikacjach ogromne postępy.

Zachęcony ukazaniem się drukiem wspomnień, zwrócił myśl z kolei ku rodzinnej ziemi, ku górcom w których się wychował i jej mieszkańcom. Zaczął pisać sceny i obrazki z życia górskich wsi używając gwary coraz śmielej. Tak powstał tom „Przy granicy” (1966). Pochwaliłem nową tematykę Łyska a on pospieszył z zapewnieniem

..Jest Pan w części odpowiedzialny za urodziny tego dziecka.

Wiem, że także Kazimierz Wierzyński radził mu trzymać się tematyki beskidzkiej, szczególnie, kiedy zapoznał się z „Przy granicy”. W tej książce oglądamy panoramę trzech wsi: Istebnej, Jaworzynki i Koniakowa. Ich odrębność w mowie, stroju i obyczajach znalazła w Łysku najpilniejszego kronikarza, który je z pietyzmem odnotował i niejedno ocalił od zapomnienia. Pokazał bogaty, tradycyjny rok na wsi: skubanie pierza, wilię, prządki, obrzędy wielkanocne, przednówek, wesele, odpust, dożynki, różne święta, starte podania i przesady. Książka okraszona piosenkami kończy się mocnym akcentem martyrologii górali w czasie okupacji.

Łysek znalazł się wreszcie w swoim żywiole, podjął właściwy temat, który okazał się rogiem obfitości rozpierającym swoją formę. Może dlatego Łysek dostrzegł z kolei możliwości powieści osadzonej w tym bogactwie i tak powstało „Twarde Żywobycie Jury Odcesty”.

Małorolny góral wraca z wojska austriackiego i szykuje się do ożenku i założenia rodziny. Inteligentny choć bez wykształcenia, ciężko pracuje, by zapewnić byt swoim. Nie jest obrotny, ma zbyt wiele skrupułów, nie umie przedkładać zysku nad wszystko inne. Prowadząc karczmę nie potrafi zapomnieć o tym, że rozpijanie górali nie powinno być ceną lepszej doli jego rodziny. Kiedy wchodzi w spółkę, by handlować bydłem, pada ofiarą nieuczciwego współnika. Zostaje na koniec owczarzem, a postradawszy zmysły dostaje się do zakładu, z którego ucieka, aby umrzeć we własnym domu i mieć gazdowski pogrzeb.

Ta opowieść o górach, w których znalazły się szczegóły z życia ojca autora, przypomina nam także historię pierwszych osadników Beskidów, wplata ludowe podania i gadki, raz po raz rozbrzmiewa pieśniczkami, wśród których są autentyczne teksty samouka Jana Probosza.

Powieść jest umiejętnie skomponowana, przysłowia stanowią tytuły rozdziałów. Gwara pokazuje nieznaną oblicze śląskiej ziemi. Obrazowanie jest oszczędne, naturalne, najbliższe rzeczy. Przekonywująca robota pisarska sprawiła, że nie powstaje banał.

Powieść jest owocem twardej walki Łyska: ze sobą, z miękkością spojrzenia i tendencją do popadania w łatwą ludowość; z językiem - z pewną obcością literackiej polszczyzny ustawicznie podważanej przez bliższą jego sercu gwarę nieokiełznaną rygorami mowy pisanej; z wydawcą i czytelnikami - żeby ich przekonać do niezwykłej tematyki, stylu i języka.

Znajdziemy w niej pamiętne strony, czujemy, że ostatnia zabawa w zamykającej się karczmie, ostatnia muzyka, jest lamentem i trenem na przemijanie i odmianę życia beskidzkich górali. Serdeczną tęsknotą autora, górala rzuconego w inny kamienny świat.



Paweł Łysek z góralami, fot. arch. F. Śmieji.

Moje pisanie w podobnym tonie spotkało się z żywą aprobatą Łyska. Zrozumiał, że udało mi się wyczuć „duszę” jego twórczości.

Bo zakątek to piękny, a lud dobry i poetyczny. Szkoda, że ząb czasu, system i inne wpływy niedobrej cywilizacji niszczą to wszystko, co wieki zbudowały. I to było jednym z celów mojej książki, by świat ten – jego zwyczaj i obyczaj ratować choć w książce.

W tym samym liście autor doniósł, że wysłał do Giedroycia, do Paryża nowy maszynopis powieści „Marynka, cera gajdosza”.

Książką tą chciałem zamknąć moją trylogię beskidzką i szukam na nią wydawcy. Oby się rzecz „uzdała” Giedroyciowi, choć wątpię, by to wydawał, bo pisząc do mnie, spodziewał się, że rzecz będzie miała szersze podłoże polityczno-społeczne, a w rzeczywistości tak nie jest.

Już kilka lat wcześniej w roku 1970 namawiając mnie do napisania recenzji „Twardego żywobytu...” Łysek objaśniał:

...Jest to druga książka mojego cyklu beskidzkiego (czy epopei beskidzkiej – jak to nazwali i Most w Polsce i Kowalewski w Londynie); pierwsza książka z tej serii była „Przy granicy”, druga, „Jura Odcesty”, a trzecia będzie „Roztomiła Marynka”. Akcja ostatniej rozgrywa się w Beskidzie i na Zaolziu. Tak chyba wyczerpałbym tematykę beskidzką.

Łysek nabrał zaufania do mojego odczytywania jego twórczości. powieściowej, wiedział, że może liczyć na sympatyzujące opinie dotyczące roli gwary, a wiedział, że opisywane ziemie nie były mi obce, a tym bardziej egzotyczne. Zwierzył się, że długo się zastanawiał, czy mnie nie poprosić o napisanie wstępu do „Marynki”, która się miała ostatecznie ukazać w Londynie w serii biblioteki Polskiej Fundacji Kulturalnej. Zwrócił się więc do W. Oszeldy z Cieszyna, otrzymał szkic, który mi przysłał z adnotacją:

Chcę byś miał to w całości, bo Sakowski to pewno skróci, jako że rzecz jest nieco za długa. Jest to ładnie napisane, ale może za wiele jest pochwał pod moim adresem. Ale Oszelda to bardzo romantyczny człowiek i wielce zakochany w Beskidzie.

Kiedy na jesieni 1973 roku wyszła „Marynka” Łysek przysyłając mi egzemplarz i cytował opinię wydawcy, Sakowskiego, wyrażoną Marii Danilewiczowej, że to jego najlepsza książka, lepsza od „Jury”. Nic więc dziwnego, że autor bardzo się uradował i prosił mnie o opinię uważając, że jestem, jak się wyraził, „specjalistą od moich

śląskich powieści i opowieści”. Nawet spytał wprost:

Czy nie uważasz, że może moja „Marynka” byłaby lepsza do przedruku w Kraju? Oczywiście, to wcale nie dowodzi, że tam cokolwiek wydadzą, bo nad Szewczykiem jest cenzura i sto innych urzędów.

Myśl tę powziął na wieść, że Oszelda rozmawiał z Wilhelmem Szewczykiem, redaktorem szeregu śląskich czasopism społeczno-kulturalnych, pisarzem i publicystą oraz obrońcą śląskości przed próbami internacjonalistycznego równia i rugowania regionalnych cech i tradycji.



Koronczarki z Koniakowa, 1970 r., fot. E. Poloczek.

Opowieść o Ślązaczce z wiejskiej biedoty była zamierzona jako zamknięcie cyklu o

tematyce beskidzkiej. Nie przypominam już sobie, co autorowi na jej temat powiedziałem, bo w tym czasie miałem kłopoty z otrzymaniem egzemplarza książki, a potem w ferworze wyjazdu z całą rodziną na rok do Europy (do Polski i Hiszpanii) straciłem orientację i rachubę czasu, tak że nie zdołałem spisać w terminie swoich odczuć i urwała się nasza korespondencja.

Tadeusz Nowakowski, nie znający stron Łyska poświęcił „Marynce” dłuższe omówienie. Zauważył, że niskie pochodzenie jego protagonistki dało autorowi uczulonemu na dolę ludu sposobność do ewokacji klimatu moralnego przedwojennego Śląska po obu stronach Olzy (fabuła toczy się za młodości narratora), zobrazowania psychologii i mentalności tubylczej, ukazania barwnej panoramy folkloru, obyczaju, świata wierzeń, ocalenia wielu pieśniczek, reliktyw obrzędowych, przysłów, powiedzonek i rarytasów językowych przed zapomnieniem.

Po napisaniu trylogii góralskiej Łysek przypomniał sobie jeszcze temat zbójnicki. Jego bohaterowie idą wprawdzie w ślady słowackiego Janosika i jego śląskiego odpowiednika Ondraszka, ale nie przestają być prawymi synami jego górskich dziedzin. Ich barwne życie biegnie równocześnie naturalnym trybem. Do lasu pędzi ich los, lecz dobra natura nie pozwala na wyuzdanie. Każdemu z tych beskidzkich młodych, kryjących się w lasach przed poborem do wojska austriackiego, przyświeca ideał, by jedynie uszczknąć trochę bogactwa zachłannego handlarza. Łup pozwala im przetrwać do czasu, kiedy ustaje łapanka i nadarza się okazja, by osiąść w jednej z przygranicznych wsi, ożenić się z wierną dziewczyną i na powrót stać się częścią gromady. Zbójnicy często nie tylko zabierają bogaczom, ale wspierają nędzarzy i zabezpieczają byt nieszczęśliwych.

Nie odzierając swoich postaci z romantycznej aury, Łysek pokazuje, że zbójnikiem stawał się skrzywdzony sierota, dezerterski z wojska, owczarz w wieku poborowym, który ukochał wolność w górskich ustroniach i z lubością słuchał opowieści i śpiewek o zbójnikach. Nie dziwi więc pogodne zakończenie książki.



W mieszkaniu państwa Wittlinów w Nowym Jorku. Od lewej: Paweł Łysek, Florian Śmieja, Józef Wittlin, fot. arch. F. Śmieji. Fotografia ukazała się na Culture Avenue jako ilustracja wywiadu Ewy Wielgosz z prof. Florianem Śmieją na temat Józefa Wittlina.

W trzech książkach stanowiących trylogię góralską, Łysek ustrzegł się powtórzeń, słownictwo stało się naturalne, stosowne i oczywiste, a zdolne olśnić. Wiele poezji znajdziemy w opisach góralskich sytuacji dzięki delikatności omówień, wdzięcznemu oddaniu nawet scen drastycznych, ciągłej świeżości opisów. Nie było zresztą na śląskiej wsi wulgarności tak często szpecącej inne regiony Polski. Książka o zbójnikach gorzej mu się udała. Jakby była resztówką, materiałem zbyt skąpym, nie przetrawionym, zbyt pośpiesznie wtłoczonym w ramy książki. Zbyt ni w niej pośpiech i towarzyszące mu niedociągnięcia formalne.

Ostatnie siły poświęcił pracy nad przekładem książki „Przy granicy” na język angielski. Robił to wraz ze studentami. Wysiłek to był ogromny. Oszelda napisał wstęp. „Rzecz jest napisana szumnie i romantycznie, stąd tyle trudności w tłumaczeniu”. Chciał mojej pomocy, ale respektował moje zajęcia, a zależało mu

bardzo na pośpiechu, bo opuszczały go siły.

Nie doczekał ukazania się angielskiej wersji „Przy granicy”. Zmarł na raka, z którym się zmagał przez trzy lata, w szpitalu w Huntington. Po śmierci ubrano go w czerwony góralski *bruclik*, ciało spopielono, a prochy pochowano na cmentarzu w Istebnej.

W swojej korespondencji ze mną rozpisywał się o swoich książkach i sposobie ich promocji. Wydawcy nie mogli liczyć na zyski ze sprzedaży, więc zazwyczaj zobowiązywali autorów do udziału w kosztach wydania. Ten koszt mógł się zwrócić, choćby częściowo, w miarę jak się książka sprzedawała.

Krytycy emigracyjni uważali za swój ważny obowiązek promowanie nowych wydawnictw. Publikacje Łyska przyjmowali ciepło, taktownie, jako ciekawe, nieznane, czy zgoła egzotyczne narracje pisane osobliwym językiem. Dostrzegając dobre chęci autor szukał jednak zrozumienia i pokrewnego odczucia. Znajdował je w Polsce m.in. u W. Oszeldy. Polubił także moje omówienia, gdyż wyczuł w nich sympatię dla gwary i znajomość terenu, o którym pisał. Kiedy np. Tadeusz Nowakowski poświęcił „Marynce” obszerny artykuł, Łysek ocenił go jako tekst bardziej rozgadany i efekciarski niż właściwy. W liście do mnie komentował, że krytyk ów pisze z werwą i barwnie, ale gdyby całość ścisnąć, to niewiele by z artykułu zostało. Nie mogły też – rzecz jasna – podobać mu się aluzje do skansenu i małe zrozumienie dla gwary i lokalnych obyczajów.



Koniaków, fot. pinterest.

Z listów wyziera człowiek zajęty i doceniany na uczelni pedagog. Wiemy, że ucząc swoich studentów wpajał w nich nie tylko wiedzę o Polsce, ale i respekt, a nawet miłość do niej. Przejęty swoim pisarstwem przynoszącym mu pierwsze sukcesy zabiegał o dalsze powodzenie werbując recenzentów, gromadząc cierpliwie materiały, szlifując nieustannie język. Wiedział, czego szukał, niemniej przeto chciał się upewnić. Pragnął zjednać czytelników i krytyków swojemu odrębnemu światu i osobliwemu językowi. Intensywna aktywność jeszcze wzrosła w miarę jak choroba zamiast mijać, stawała się bardziej groźna.

W liście z 3 maja 1977 roku donosząc o pertraktacjach z „Oficyną Poetów i Malarzy” w Londynie w sprawie angielskiego wydania „Przy granicy” dodał:

Spieszę się z tym wszystkim, bo przy mojej chorobie człowiek nie wie, co nastąpi w najbliższej przyszłości.

Planował równocześnie wyjazd do Polski, a na jesieni chciał wystąpić w Toronto na wieczorze autorskim. Ciężkie operacje kazały mu jednak zaniechać ambitniejszych planów. Inny list, z 22.2.1978, był zwięzły i pisany ręką. Zaczynał się od słów:

Łódź mego żywota dobija obcych, ale już ostatecznych brzegów.

Zawiadamał przezornie:

Nie wiem wiele jeszcze listów otrzymasz ode mnie. Nie licz na wiele.

W P.S. jednak dodał charakterystycznie:

Liczę, że napiszesz też coś do prasy polonijnej lub kanadyjskiej, dobrze?

Do końca choroba zmagala się z potrzebą przekazania pamięci o rodzinnej ziemi jak najpełniej i najdoskonalej. Kiedy wreszcie z mogła go śmierć, dzieło było gotowe. Baca sprowadził swoje owieczki do bezpiecznej doliny.

Przebywanie w oku najostrzejszych przemian społecznych i kulturowych, w metropolii tętniącej nowościami czasu, Łysek paradoksalnie znalazł sprzyjającą przystań, która mu pozwoliła na spokojne kontemplowanie utraconej młodości spędzonej w górskiej oazie. Z trucizny nostalgii czerpał życiodajne soki umożliwiające mu powrót do rajy na kartkach swoich książek. Zamiast zagubić się w zgietku i bazarze wielkiego świata, stał się pilnym kustoszem i zachowawcą szczęśliwego wieku niewinności ludzi i przyrody rodzinnych stron, ukochanego Beskidu Śląskiego.

Pomiędzy emigracją a ojczyzną

Rozmowa z Piotrem Guzym, polskim pisarzem, byłym pracownikiem Radia Wolna Europa, mieszkającym obecnie w Hiszpanii.



Piotr Guzy

Joanna Sokołowska-Gwizdka: Od 1979 roku mieszka Pan w Hiszpanii. Czy czuje się Pan w tym kraju jak siebie?

Piotr Guzy: W Hiszpanii czuję się bardzo dobrze. Mieszkam na drugim piętrze budynku odległego o 100 metrów od morza. Jest winda, dla mnie, jednonogiego inwalidy wojennego, rzecz arcyważna. Ale nie mam tu żadnych prawdziwych przyjaciół. Od kiedy, 20 lat temu zmarła moja żona, opiekuje się mną mój syn Juliusz. Ma on doktorat ze sztucznej inteligencji, z zamiłowania jednak jest artystą malarzem. Ma własne mieszkanie-studio, 50 metrów ode mnie.

Żona leży w niszy, w murze, na miejscowym cmentarzu, gdzie obok jest zarezerwowane miejsce dla mnie. Mam przecież 96 lat.

JSG: Pana ojciec, Juliusz był powstańcem śląskim. Proszę opowiedzieć o

swoim domu rodzinnym.

PG: Ojciec, pracownik pocztowy, nigdy nie opowiadał o swoim udziale w dwóch powstaniach śląskich. Miejscowy oddział powstańców śląskich urządzał raz w roku majówkę nad Brynicą, gdzie się jechało umajonymi na zielono wozami. W domu było dużo dzieci, szkolne zadania domowe pisało się na kuchennym stole. Mieliśmy stosunkowo duży ogród, a więc też własne warzywa i owoce.

JSG: Jak to się stało, że zaczął Pan pisać?

PG: Moje pisarstwo zacząłem od napisania dwóch powieści po angielsku. Były na tyle dobre, że wziął je do znalezienia wydawcy agent literacki, polecony mi jeszcze w Poznaniu przez angielskiego pisarza. Tylko akurat w tym czasie „wybuchł” „Doktor Żiwago”, więc moje powieści nie miały żadnej szansy. I wtedy przerzuciłem się na język polski, napisałem „Krótki żywot bohatera pozytywnego”, który Jerzy Giedroyc z miejsca przyjął do opublikowania. Dał mi za niego nagrodę „Kultury”. Po sześciu czy siedmiu latach książka miała drugie wydanie. To był jedyny taki przypadek w historii Instytutu Literackiego. „Krótki żywot bohatera pozytywnego” został przetłumaczony na język niemiecki: „Kurzer Lebenslauf eines positiven Helden”, był też wiele razy recenzowany w prasie i radio. W tym roku ukazało się drugie niemieckie wydanie (Fisher Verlag), dwa darmowe egzemplarze przyszły właśnie wczoraj. W wolnej, postkomunistycznej Polsce książka nie miała ani jednego wydania mimo, że w „Dekadzie literackiej” ukazała się arcypozytywna recenzja. Szkoda, że polscy wydawcy jej nie zauważyli. Ale za to na Uniwersytecie w Rzeszowie pani Marcelina Janisz uzyskała stopień doktora za analizę mojej twórczości literackiej.

JSG: Wojna zdeterminowała Pana twórczość pisarską. Czy ten temat już się dla Pana wyczerpał, czy nadal w Panu tkwi?

PG: Temat wojenny już wyczerpałem i nie sądzę, żebym miał do niego wrócić. Ale cóż tu można tak ostatecznie powiedzieć? Może się znajdzie jakaś ciekawa fabuła. Mnie na emigracji uważano za pisarza politycznego. Ja się przeciwko temu buntowałem. W dzienniku, który zacząłem pisać (pierwszy i jedyny odcinek Giedroyc wydrukował w „Kulturze”) napisałem, że moim marzeniem jest napisać powieść miłosną, w której A kocha się w B, ten zaś w C, C znowu w A. Taki miłosno-łóżkowy romans. Zacząłem kilka powieści z taką intencją, ale po kilkunastu stronach

wyrzucałem wszystko do kosza. Pokusa jednak trwa.

JSG: Po wojnie w Londynie studiował pan ekonomię polityczną i filozofię. Założył Pan też rodzinę. Co Pana skłoniło do tego, żeby z żoną Angielką i synem przyjechać do Polski w trudnych latach 50-tych?

PG: Nie zaliczyłem jednego przedmiotu na końcowym egzaminie na magistra ekonomii i nauk politycznych. A w Anglii nie można było pójść do profesora, który delikwenta przepytalby u siebie w gabinecie i ocenił. Tu trzeba było zdawać wszystko od początku i to pisemnie. Uznałem to za duży wysiłek. Poza tym chciałem pisać, myślałem, że Polska to nie Sowiety i da się tam żyć.

JSG: I dało się wówczas Państwu w Polsce żyć?

PG: W czasie prawie dziesięciu lat życia w Polsce zwanej „ludową” miałem trzy spotkania z bezpieką. Pierwsze było wkrótce po przeprowadzeniu się do własnego mieszkania w Poznaniu. Żona akurat wyszła na zakupy, byłem sam, siedziałem przy maszynie do pisania, gdy odezwał się dzwonek przy drzwiach. Poszedłem zobaczyć kto przyszedł. Dwóch facetów, jeden śmignął kwadratową legitymacją. „Jesteśmy z Urzędu Bezpieczeństwa, chcieliśmy z panem porozmawiać”. I już się pchają do środka. Powstrzymałem ich, niech wytrą buty o wycieraczkę (budynek jeszcze nie był wykończony), niech siadają i powiedzą o co chodzi. A chodziło o to, że oni zatrudniali studentów ze znajomością języka angielskiego.

„Zapyta taki Anglik na przykład, co to za dziwna konstrukcja na dachu domu. A ten od razu, że to jest aparatura do zagłuszania audycji Radia Wolna Europa w Monachium. Taki szczeniak chlapnie co mu ślina na język przyniesie, natomiast pan, człowiek dorosły, życiowo doświadczony, to co innego”.

Powiedziałem, że chętnie im pomogę, ale nie teraz, jestem w trakcie pisania nowej powieści, to mi zajmie mniej więcej rok, więc jak skończę...

JSG: Bezpieka dała za wygraną?

PG: Nie, jeszcze się o mnie upominali. Drugie spotkanie odbyło się w kawiarni na skraju Placu Wolności w Poznaniu. Nie pamiętam jak do niego doszło, nie pamiętam też o czym była mowa, wiem tylko, że w pewnej chwili po prostu wyszedłem.

Trzecie spotkanie miało miejsce w burzliwym okresie przed buntem robotników zakładów ZISPO (dawny Cegielski, gdzie się produkowało parowozy kolejowe, lokomotywy, wagony). Pracowałem wtedy w redakcji „Tygodnika Zachodniego”. Zadzwoił telefon na biurku. „Przyjechaliśmy z Warszawy... itd.”. Zaproponowałem, żebyśmy się spotkali w Kawiarni Bałtyckiej, prawie u wylotu mostu kolejowego, czyli na tak zwanym Kaponerze. Dla mnie tym razem sytuacja mogła być niebezpieczna, gdyż niecały tydzień wcześniej w ZISPO odbyło się otwarte zebranie partyjne, na które mogli przyjść niepartyjni pracownicy. Dwóch niepartyjnych kolegów z redakcji mnie namówiło, żeby wziąć udział w tym zebraniu. W olbrzymiej hali było około dwóch tysięcy ludzi. Przy długim stole siedziało „naczalstwo”, ważni przedstawiciele wojewódzkiego komitetu partyjnego oraz przedstawiciele władz w Warszawie. Na lewo od nich było podium, na które wchodził robotnicy i wygarniali władzom partyjnym, co ich bolało. Brak masła na rynku, brak mięsa itd. Mówili jakby nie istniała cenzura. Na sali rozległy się olbrzymie oklaski. W pewnej chwili wstałem, zrobiło się cicho, powiedziałem, że też chcę coś powiedzieć. Przeszedłem całą salę, wstąpiłem na podium i powiedziałem, że robotnicy otwarcie mówią o swoich bolączkach, o których zresztą wie całe miasto, ale jak to będzie przedstawione w jutrzejszym wydaniu gazety partyjnej? Będzie napisane, że odbyło się otwarte zebranie partyjne, na którym omówiono aktualne problemy żywnościowe. Coś tym rodzaju. Dlaczego nie napisze się prawdy?

Gdy wracałem na swoje miejsce towarzyszyły mi oklaski i okrzyki dwóch tysięcy ludzi. I oczywiście w gazecie nic o tym nie było. Dopiero dwa dni później w zakończeniu innego artykułu napisano, że „obywatel Guzy powinien bardziej uważać w swoich wypowiedziach publicznych”.

JSG: Jak zatem przebiegło trzecie spotkanie z panami z bezpieki?

PG: Przed wyjściem na to spotkanie zaszedłem do sąsiedniego pokoju, gdzie pracował mój przyjaciel Włodzimierz Odojewski. Poprosiłem, żeby przyszedł do tej kawiarni jakieś pięć minut po mnie, usiadł gdzieś z boku i obserwował. Jeśli wyjdę sam, to będzie oznaczało, że wszystko jest w porządku, ale jeśli wyjdę razem z nimi, będzie to znaczyło, że mnie aresztowali. Wtedy niech pojedzie do mnie i opowie mojej żonie Ishbel, co się stało.

Przyszędłem. Oni już czekali na mnie. Usiadłem i pytam o co panom tym razem chodzi? Tym razem najbardziej ich interesowały moje wizyty w ambasadzie amerykańskiej w Warszawie. A ja tam zwykle raz na miesiąc jeździłem, żeby w wydziale konsularnym odebrać plik magazynów amerykańskich, potrzebnych mi w redagowaniu działu zachodniego naszego tygodnika. Raz konsul zaprosił mnie na kolację do ich prywatnego mieszkania. O tym panowie z bezpieki też wiedzieli. Powiedziałem mniej więcej tak. „Jeśli panowie mieli nadzieję, że uda wam się nakłonić mnie do współpracy, czyli zwerbować mnie jako waszego tajnego współpracownika, to się panowie pomylili. Nigdy, ale to nigdy, wybijcie to sobie panowie z głowy, nigdy!”

Wstałem i wyszedłem wsiadłem do najbliższego tramwaju, który szedł na „Łazarz” i pojechałem do domu. Powiedziałem wtedy żonie, nie ma co, wracamy do Anglii.

JSG: Oprócz spotkań z bezpieką miał Pan też, jako pisarz, naciski ze strony cenzury.

PG: W latach 50. ubiegłego wieku ciągle jeszcze istniały w Polsce liczne organizacje podziemne, które w ten czy inny sposób walczyły z władzą ludową. Taką organizacją na przykład była WIN, czyli Wolność i Niepodległość. Były ich zresztą dziesiątki. Niektóre działały spoza granicy, często organizacyjnie i finansowo wspomagane były przez Amerykanów. Wysyłano np. baloniki z literaturą antykomunistyczną w stronę Polski, były też organizowane przerzuty amerykańskimi samolotami ludzi, których zadaniem było organizowanie sabotażu w fabrykach, niszczenie maszyn itd. Bohaterem mojej powieści „Nocny zrzut” był właśnie taki człowiek zrzucony z amerykańskiego samolotu, który miał przeprowadzić akcję przeciwko władzy ludowej. Powieściowy bohater zaczyna się zastanawiać czy dobrze postępuje, ale zanim do czegoś dojdzie, dostaje się w ręce bezpieki. Zdawałem sobie sprawę z tego, że temat książki jest trefny, ale tyle tam było wątków sensacyjnych, że dało się z tego skleić dobrą „dreszczową” powieść. Pisząc starałem się zachować dystans, żeby mnie nie oskarżono o propagowanie komunizmu.

W tym czasie w Poznaniu rozpoczęły się procesy robotników oskarżonych o czynną działalność przeciwko oddziałom wojskowym, które zalały miasto po uśmierzeniu czerwcowego buntu. W tej atmosferze miały się zadecydować losy mojej książki,

którą wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej przyjęło do druku po poczynieniu w niej pewnych korekt.

Do Poznania przyjechał Kazimierz Koźniewski i w hotelu Bazar przez dwa dni robił korektę polityczną książki, linia po linii, słowo po słowie. Gdy oponowałem, mówił: „My Hamletów nie potrzebujemy, u nas albo jest się z nami, albo przeciwko nam”. Cóż miałem robić. Trzeba też pamiętać, że Polska przeżywała wtedy okres najgorszego stalinowskiego terroru, ludzie żyli w strachu, że Sejm uchwali przyłączenie Polski do Rosji sowieckiej i lada dzień rozpoczną się wywózki. W tej atmosferze moja książka została ideologicznie naprawiona i wydana. Nigdy się nią nie chwaliłem.

JSG: Po powrocie do Anglii pracował Pan w radio BBC. Na czym polegała Pana praca?

PG: W BBC pracowałem w monitoringu radiowym w Caversham obok Reading. Trzeba było zdać egzamin w Birmingham. W osobnym pokoju dawali arkusz papieru i ołówek, puszczały płytę z nagraniem „BBC NEWS”, trzeba było go wysłuchać, a potem trzeba zapisać to, co się zapamiętało. Zdałem egzamin bardzo dobrze. Po dwóch tygodniach dostałem *engagement*.

Pracowało się ze słuchawkami na uszach. Słuchało się dzienników polskiego radia oraz wybranych audycji. Ważne wiadomości trzeba było nagrać na *recorder*, a arcyważne tłumaczyć na angielski i zapisać na maszynie do pisania. W długich tekstach brało się stenotypistki do pomocy. Praca była stereotypowa, chyba że była jakaś wyjątkowa sytuacja. Pamiętam okres kryzysu kubańskiego, kiedy Ameryka postawiła ultimatum Sowietom, gdy ci instalowali swoje pociski balistyczne na Kubie. Ustalono godzinę, o której Rosjanie mieli dać odpowiedź. W całym tzw. *listening room* nastąpiła kompletna cisza, a gdy minęła wyznaczona godzina i Amerykanie nie zbombardowali statków sowieckich, kolektywnie odetchnęliśmy z ulgą. Nigdy tej chwili ni zapomnę.

JSG: A jak wspomina Pan pracę w Radio Wolna Europa w Monachium?

PG: W rozgłośni polskiej Radia Wolna Europa pracowałem przygotowując polskie dzienniki radiowe. Lubiłem tę pracę. Mieliśmy dwie maszynistki, choć rzadko z

nich korzystałem. Pracę rozpoczynało się o różnych godzinach. Ostatni dziennik leciał o jedenastej w nocy. Szło się potem przez Ogród Angielski i przez puste miasto. Podobnie było, kiedy przygotowywało się pierwszy poranny dziennik, który, jeśli dobrze pamiętam, szedł o piątej rano.

Praca była interesująca. Nie miałem żadnych zatargów z dyrektorem panem Janem Nowakiem-Jeziorańskim. Szanował mnie mimo tego, że mu wygarnąłem całą prawdę o Henryku Rozpendowskim, który jeszcze w Poznaniu groził mi, że mnie może zlikwidować. Był kapitanem w organizacji, którą potem uznano za zbrodniczą. Kiedy Nowak miał imienny, to przed jego gabinetem ustawiała się 15-to metrowa kolejka, każdy przychodził z jakimś kosztownym podarunkiem. Znany był przypadek, że Nowak odmówił przyjęcia zbyt drogiego prezentu. Byli też ludzie, którzy już od rana czekali, aż Nowak będzie szedł do swojego gabinetu, żeby móc mu się ukłonić. Mnie takie zachowanie raziło.

Lubiłem Monachium, mieszkaliśmy na tzw. Schwabingu, do radia można było iść piechotą. Niedaleko były Alpy, często więc wyjeżdżaliśmy w góry na cały dzień.

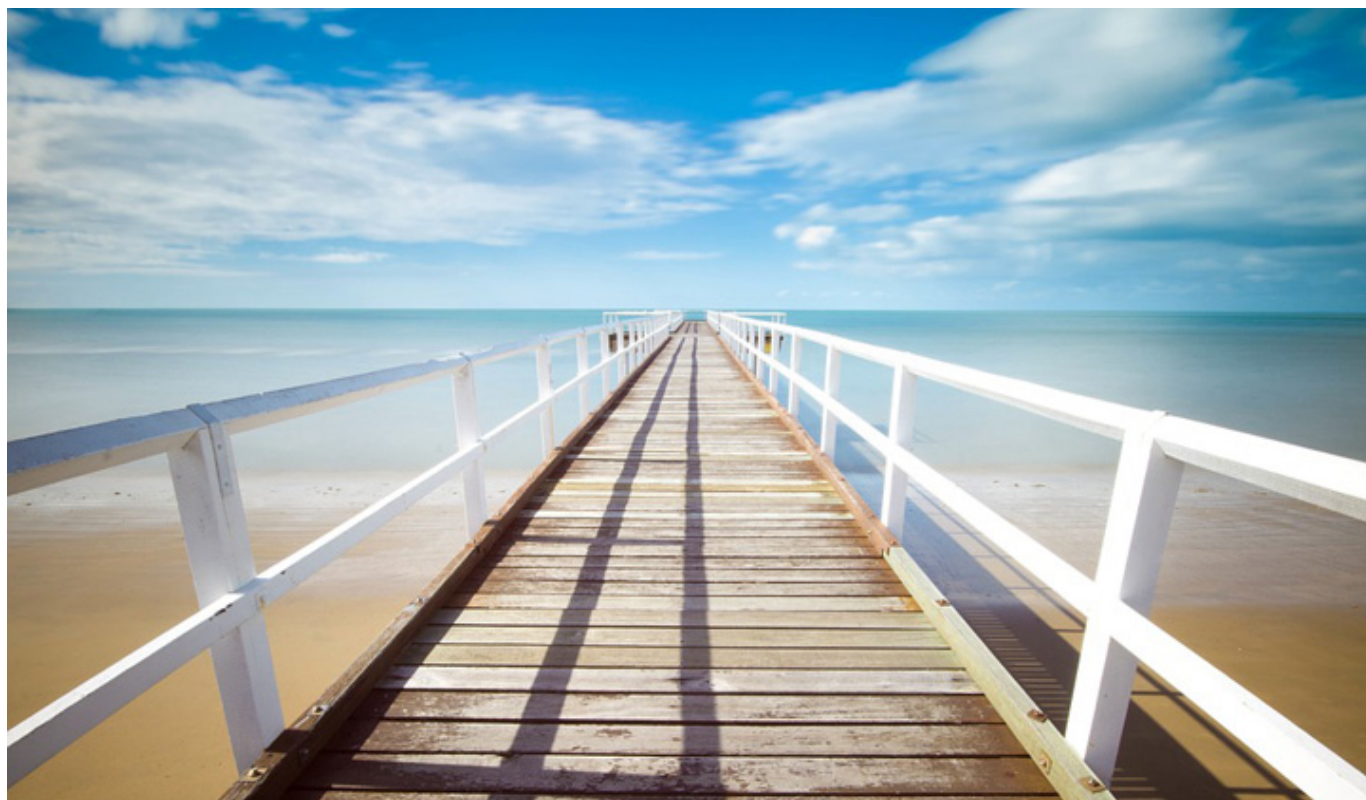
JSG: Czy Radio to było w tym czasie kawałkiem wolnej Polski, poza jej granicami?

PG: Nie sądzę, żeby Radio Wolna Europa w Monachium stanowiło część wolnej Polski. Oprócz tych pracowników, którzy grali w brydża, reszta chodziła „luzem”. Ja w każdym razie do żadnej „ferajny” nie należałem, a w domu mówiłem po angielsku.

JSG: W czerwcu 2017 roku w Pana rodzinnych Tarnowskich Górach miało miejsce uroczyste spotkanie z Panem, z udziałem władz miasta. Jakie znaczenie miał dla Pana powrót do korzeni, po latach życia poza krajem, z dorobkiem pisarskim osadzonym w problemach ojczyzny i jej trudnej historii?

PG: W Tarnowskich Górach byłem już wcześniej dwa razy. Teraz miałem wieczór autorski, byłem gościem mojego dawnego gimnazjum, poznałem kilka ważnych osób. W mieście kwitnie życie literacko-artystyczne, ale nie umiałbym tam znowu żyć. Lubię prywatność, samotność.

Tegoroczny przyjazd miał jednak dla mnie dodatkowe znaczenie. Pojechaliśmy do wsi, w której się urodziłem, Zawadzkie. Dom mojego dziadka i jednej z moich ciotek znajdował się po drugiej stronie rzeki Mała Panew (przed wojną „Małapana”). Dojazd był tam trudny, ale jak głośno o tym rozmawialiśmy, podeszła do nas pewna pani i zaproponowała: „Panowie sami zbłądzą, ja panów zaprowadzę”. Dzięki tej kobiecie znowu zobaczyłem dom, który pamiętałem z dzieciństwa i wymieniałem kilka słów z mieszkającymi tam ludźmi. Kiedy wróciliśmy i żegnaliśmy się przy samochodzie, podziękowałem tej pani i poprosiłem ją o podanie nazwiska. Padło nazwisko mojego wuja, którego żona była siostrą mojej matki. Okazało się, że jesteśmy spowinowaceni, a mój wuj był jej pradziadkiem. Ta kobieta ma dwie córki, jedna ma doktorat z nauk społecznych, pracuje i mieszka we Wrocławiu, druga, młodsza, jest magistrem germanistyki, pracuje w Zawadzkiem i mieszka z matką. Niezmiernie mnie to spotkanie uszczęśliwiło i miało dla mnie duże znaczenie. Byłem pewny, że nasza mocno rozgałęziona rodzina już wymarła, a okazało się, że nie. Może dożyję przyszłego roku, żeby tam jeszcze pojechać i się z nimi spotkać.



Piotr Guzy urodził się 15 maja 1922 r. w Zawadzkiem (Śląsk Opolski), zmarł 24

lutego 2018 r. w Walencji (Hiszpania). Uczęszczał do gimnazjum i liceum w Tarnowskich Górach. Brał udział w kampanii wrześniowej i był internowany w Rumunii. Stamtąd uciekł do Francji i wstąpił w szeregi wojska polskiego – służył w dywizji gen. Maczka. Po zakończeniu wojny studiował ekonomię polityczną i filozofię na Uniwersytecie w Londynie. W Anglii też założył rodzinę, ale wraz żoną i synem wrócił do kraju w 1949 r. Ukończył ekonomię na Uniwersytecie Poznańskim. W latach 1956-57 pracował w „Tygodniku Zachodnim”. W 1957 r. jednak wyjechał z powrotem do Anglii (powodem były prześladowania przez służbę bezpieczeństwa). Pracował dla BBC oraz Radia Wolna Europa. Od 1979 r. mieszka w Hiszpanii. Należy do Związku Literatów Polskich.

Powieści Piotra Guzego:

- *Następny odchodzi 22.25* (Warszawa 1955).
- *Nocny zrzut* (Warszawa 1955).
- *Cienie na gwiazdach* (Warszawa 1956).
- *Wenus z brązu* (Warszawa 1956).
- *Krótki żywot bohatera pozytywnego* (Paryż 1966, nagroda paryskiej „Kultury”, wydanie niemieckie 1968).
- *Stan wyjątkowy* (Paryż 1968, nagroda londyńskich „Wiadomości”).
- *Requiem dla pani Tosi* (Londyn 1990).
- *Zwidy na wysokościach* (Poznań 1994).

Piotr Guzy na Culture Avenue:

<http://www.cultureave.com/z-zawadzkiego-pod-walencje/>

<http://www.cultureave.com/polubilem-te-moja-samotnosc-piotr-guzy-1922/>

<http://www.cultureave.com/juz-nie-skrzypi-moja-szafa/>

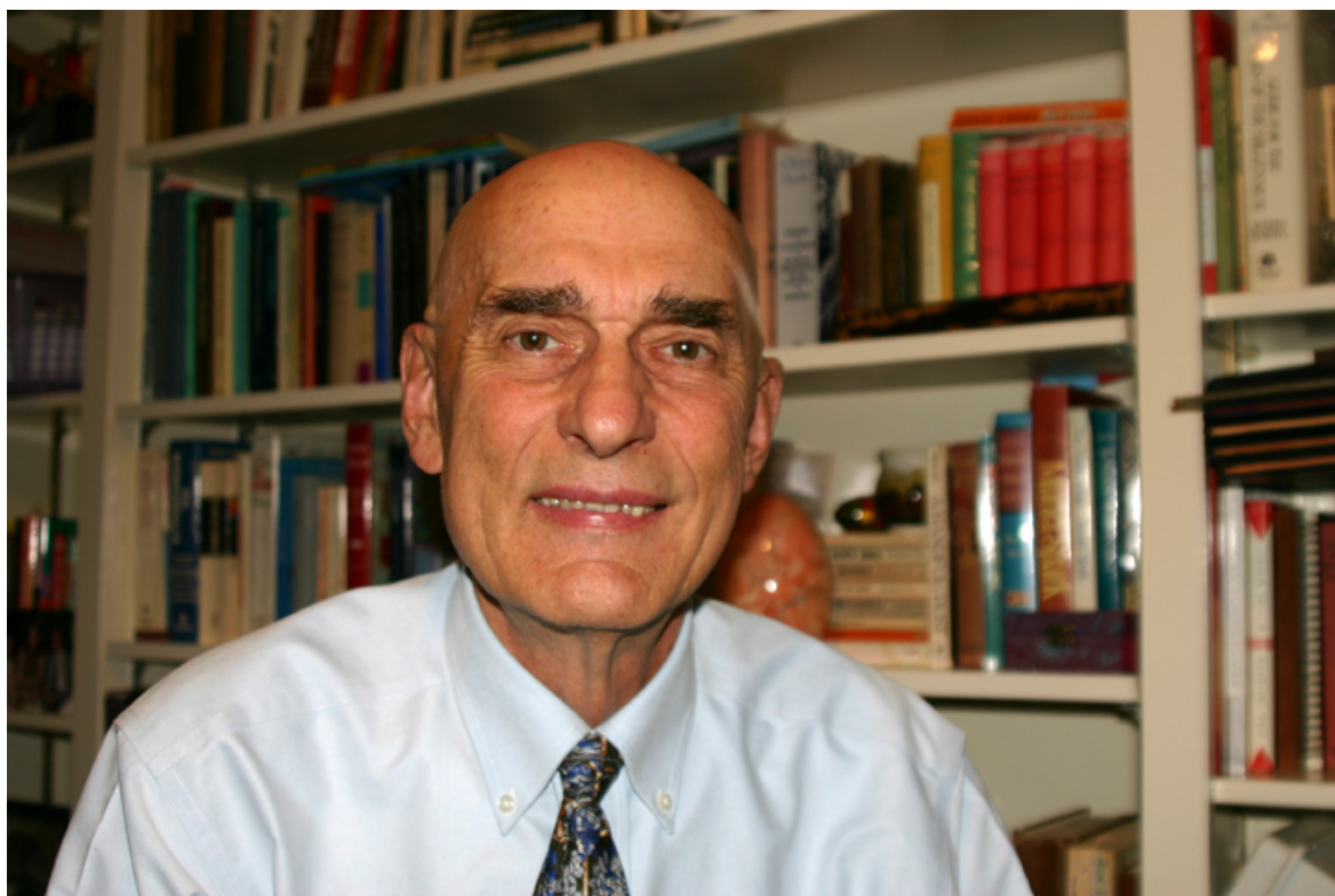
<http://www.cultureave.com/zakamarki-pamieci-wspomnienie-o-marku-hlasce/>

<http://www.cultureave.com/uraza/>

<http://www.cultureave.com/upiorne-echa-przeszlosci-stan-wyjatkowy-piotra-guzego/>

<http://www.cultureave.com/literackie-swiaty-piotra-guzego/>

Milczenie słów. John Guzłowski i jego poezja.



John Guzłowski, fot. arch. autora.

John Guzłowski jest polsko-amerykańskim poetą, autorem trzech powieści, wykładowcą literatury angielskiej i amerykańskiej na Eastern Illinois University w Charleston (USA) oraz autorem prac z zakresu krytyki literackiej. Urodził się w roku 1948 w obozie dla uchodźców w Vinenbergu w Niemczech. Jego rodzice pracowali w nazistowskich Niemczech jako niewolnicy. Ojciec został schwytany w 1940 roku pod Poznaniem, a matka złapana w pobliżu jej domu na zachód od Lwowa i przewieziona

do Niemiec w 1942 r. Obydwoje pracowali w obozach koncentracyjnych oraz fabrykach i gospodarstwach rolnych do końca wojny. Następnie znaleźli się w obozie dla uchodźców w Niemczech. W 1951 roku jako przesiedleńcy przyjechali do Stanów Zjednoczonych z dwójką dzieci i zaczęli budować nowe życie w Chicago. Wiersze Johna Guzłowskiego dotyczą bolesnych tematów z przeszłości rodziców i im podobnych poranionych przez wojnę i zapomnianych.

Język Mułów i inne wiersze to dwujęzyczny tom Johna Guzłowskiego, przetłumaczony przez poetę Bohdana Zadurę, mający dwa wydania - *Language of Mules*, Charleston, IL: DP Press, 1999 oraz *Język Mułów i inne wiersze*, Katowice, Biblioteka Śląska, 2002. Naziści określali koślawą niemczyzną przymusowych robotników w obozach językiem mułów, nie ludzi. Stąd tytuł tomu.

Czesław Miłosz, laureat Nagrody Nobla, w recenzji zbioru wierszy Johna Guzłowskiego „*Language of Mules*” napisał, że dzieło Guzłowskiego „zadziwiło” go i pokazało „wielką umiejętność uchwycenia rzeczywistości”.

Poezje Johna Guzłowskiego były ponadto publikowane w *Writer's Almanac* Garrisona Keillora, *Rattle*, *Ontario Review*, *North American Review* i wielu innych pismach literackich w Stanach Zjednoczonych i za granicą. Jego wiersze i eseje o podłożu osobistym, pojawiają się też w publikacji p.t. *Echoes of Tattered Tongues: Memory Unfolded*, Los Angeles: Aquila Polonica Press, 2016.

Książka *Echoes of Tattered Tongues* została w 2017 roku uhonorowana nagrodami: *Benjamin Franklin Poetry Award* oraz *Eric Hoffer Foundation's Montaigne Award*.

John Guzłowski o swojej rodzinie i życiu pisze na blogu:

<http://lightning-and-ashes.blogspot.com/>

oprac. polskiej wersji notki biograficznej poety: Joanna Sokołowska-Gwizdka

DIPISI

Przyszliśmy z ciężkimi walizami

zrobionymi z desek przez braci

*których zostawiliśmy, przyszliśmy z Magdeburga,
i Katowic, a przedtem
ze Lwowa, prawdziwego domu naszej matki,*

*przyszliśmy z naszymi językami
w strzępach, z zębami w kieszeniach,
tulący tylko samych siebie, nasze ciała
sztywne jak przerażone ostrygi.*

*Byliśmy dziećmi w wełnianych szmatach,
które wymieszały się w szeregu do jedzenia lub modlitwy
lub żebrania o czyjeś miłosierdzie.*

*Pamiętając powietrze i drzewa,
niebo nad polskimi polami,
śniliśmy tylko o żywych czekających
na nas w Chicago i St. Luis
i Superiorze, Wisconsin*

*jak centy
w naszych ustach*

przełożył Bohdan Zadura.

Z tomu „Język Mułów i inne wiersze”, Katowice, Biblioteka Śląska, 2002.

BÓG FAL

(God of the Waves)

Ale Bóg jest Bogiem fal i bałwanów, one są Jego również wtedy, gdy przewalają się nad nami; a my znów, raz jeszcze udowadniamy, że przytłaczająca nas siła nie przytłacza nas. Raz jeszcze, za jego wstawiennictwem, nadchodzi wyswobodzenie. Zostaliśmy pogrążeni, ale nie zniszczeni.

Amy Wilson-Carmichael, chrześcijańska misjonarka z Indii

Bóg pamięta ten zegarek

mężczyzna miał go ze sobą gdy jego ręce

bezgłośnie ginęły pod falami –

cyferblat wiszący w ciemnościach

jak porzucone okruchy gwiazdnego pyłu

na smagającej czarnej wodzie.

Czy człowiek ten błagał o coś,

może zrywając pełne wody płuca

wzywał Jego imię? Bóg chciałby

ale nie umie przypomnieć sobie.

Chwileczkę, jest wreszcie. To powraca

*chłodnym przypiływem pamięci, twardym
jak żwir, głębokim niczym płacz matki.*

*Bóg strząsa to z siebie, myśli
o czymś innym – oliwnym gaju nocą.*

*Będąc w Nazarecie jako chłopiec
ukochał ciszę świętych gwiazd
płynących strumieniami po Boskim niebie.*

przełożył Henryk Cierniak

POLSKA

*Nigdy jej nie zobaczą, ci starzy Polacy
którym stale śni się Polska. Kiedy byłem chłopcem
ojciec powiedział mi że ci którzy tego próbowali
w '45 zostali zawróceni na granicy

przez bosonogich Rosjan w łachmanach
na kosmatych kucykach. Polacy uciekali przez lasy
ci którzy mieli pecha zostawali w tyle, martwi
albo co gorsza ranni, ci którzy mieli szczęście*

wracali do swoich starych baraków w obozach
koncentracyjnych albo obozach pracy
w Gatersleben lub Wildflecken aby czekać
na jakiś cud który by ich przeniósł

do Poznania albo Katowic. Lecz Bóg
ich nie wysłuchał, a może miał ręce pełne
roboty gdzie indziej. Później, w Ameryce
ci Polacy spotykali się każdego roku

ze swoimi braćmi, a także swoimi afektowanymi
synami i córkami w święto Konstytucji 3 Maja,
aby się modlić w intencji flagi. Nie było wątpliwości
co znaczą te dwa kolory, czerwień wszystko to

co rodzi smutek, a biel to niewinność.

I zawsze te stare pieśni mówiące światu że
Polska nigdy nie zginie dopóki maki kwitną
czerwono, a ciało zdolne jest pokonać skałę i stal.

CZEGO NAUCZYŁA JĄ WOJNA

*Moja matka nauczyła się, że seks jest zły,
Mężczyźni są nic nie warci, jest zawsze zimno
I nigdy nie ma dosyć jedzenia.*

*Nauczyła się, że jeśli masz dwie lewe
Ręce nie przeżyjesz
Zimy, nawet jeśli przeżyjesz jesień.*

*Nauczyła się, że tylko młodzi przeżywają
Obozy. Starzy zostają na kupie
Jak makulatura, a niemowlęta
są tak rzadkie jak kurczęta i chleb.*

*Nauczyła się, że świat jest niepewnym miejscem
Gdzie nie śpiewają ptaki i nawet anioły
Nie mogą unieść smutku, który daje im Bóg.*

Nauczyła się, że nie należy się modlić

Aby wrogowie cię nie torturowali.

Modlić się trzeba o to, żeby cię nie zabili.

przełożył Bohdan Zadura

DOBRA ŚMIERĆ

Mój ojciec mówi

że kiedyś się nauczy

słuchać poloneza

a nie słyszeć Sikorskiego

lub Warszawy, głuchej fali

i kurzu niemieckich czołgów,

tylko Szopena,

jego zestroju czystych dźwięków

i precyzyjnego legato.

Jego sny będą

z oszronionych drzew,

opakowanych prezentów

w czerwonym pół-świetle,

*z zapachu ciepłych szop
i dziewcząt dojących
czekające krowy.*

*Śnieg będzie padał
i znikał niezauważony.*

przełożył Bohdan Zadura

KATYŃ

*Nie ma tu żadnych Wielkich Murów,
Żadnych Wież pochyłych lub niepochyłych,
Ogłaszających sukces jakiegoś króla
Albo wyszydzających błąd innego,
Żadnej błyszczącej Duomo gdzie by można
Modlić się o przebaczenie lub patrzeć
Na koło cieni grających
W chłodzie dnia,

A wkrótce nawet nazwisk
Tych którzy umarli nikt nie będzie pamiętał
(Nazwisk takich jak Skrzypiński, Chmura,*

Lub Antoni Milczarek)

Ich ostre głosy i szalona odwaga

Już przeminęły z wiatrem,

Ale ich prawdziwe pomniki

Zawsze tam będą, w pyle

I szarych popiołach i pagórkach

Wznoszących się nad ciałami, nad którymi

Nigdy nie wypowiedziano nawet słowa

I żadnej łzy nie uroniła płacząca matka

Lub drżąca siostra.

przełożył Bohdan Zadura

TO, O CZYM MOJA MATKA NIE CHCE ROZMAWIAĆ

Zaledwie siedemnastoletnia

z wiankiem kwiatów

we włosach

wraca

z pastwiska

pod lasem

gdzie krowy płyną

powoli

w mrocznej

chmurze kurzu

cieplej i nieruchomej

jak sierpień

Znajduje swoją matkę

z przestrzelonym gardłem

odrąbane piersi siostry

w kurzu

obok stóp

martwe niemowlę

w kocu

To wszystko kończy się tam

nie w obozie

a tam

Spytaj ją

Machnie ręką

Powie jesteś głupcem

powie

jeśli dają ci jeść

jedz

jeśli biją

uciekaj

przełożył Bohdan Zadura

MELON

Kiedy patrzymy na melon błyszczący na stole

w porannym świetle, czemu nasze serca biją radośnie,

wyrywają się do niego tak właśnie, jak to robią? Czemu chcemy

naszkicować ten melon, zamknąć go w słowach

lub umieścić w krótkich melodycznych frazach?

Czasami, myślę, że robiąc tak, chcemy

w pewien sposób ten melon osiąść, nie w znaczeniu

kupienia, mam na myśli nie to,

*lecz świadomość, że ten melon nie jest
częścią mnie, nie mnie, nie może być, w rzeczy samej, nigdy*

*bliżej mnie niż jest teraz,
w tej chwili, kiedy widzę go przed sobą
na stole jak mały świat, o którym śniłem
jako dziecko w piaskownicy snów,
i patrząc nań jak na ten świat, jestem przezeń wciągnięty*

*posiadany przez niego tak pewnie jak wiosna
bierze wzgórze, rozpuszczając je aż zima
przestaje znaczyć cokolwiek w jego życiu, aż skóra
jego utraconych liści jest niczym. Wówczas staję się
melonem, istnieję tylko po to aby podziwiać*

*jego piękno, jego lepką białą skórę i chłodną słodycz
jego Betlejem i Golgotę, istnieję tylko po to by podziwiać jego
odrębność i widzieć samego siebie jako jego część,
nigdy bliżej niego niż teraz, nigdy bardziej wolny
niż teraz z mego własnego miejsca czaszek.*

Poeta zapomniany. Część II.

Historia wydań i opinii na temat największego eposu narodowego Chile „Araukany” dotyczącego walk hiszpańskich Konkwistadorów z plemieniem Mapuchów, mieszkającym na terenach obecnego Chile, napisana przez tłumacza epopei na język polski – Czesława Ratkę.



Płaskorzeźba przedstawiająca Alonso de Ercilla y Zúñiga, autorstwa Wiliama Blake'a, ok. 1800 r., Manchester City Gallery.

Czesław Ratka

Popularność *Araukany* w Hiszpanii za życia jej autora była nadzwyczajna. W ciągu trzydziestu lat od jej pierwszego wydania w roku 1569 ukazało się w Madrycie, Salamance, Antwerpii (wówczas należącej do Hiszpanii), Saragossie, Lizbonie, Barcelonie i Perpignan siedemnaście wydań tego eposu[1]. Szybko znalazł on naśladowców i stał się inspiracją dla innych twórców nie tylko w gatunku poezji epickiej, ale i w romancy oraz w teatrze. A że dobre dzieła rozpowszechniane przez liczne wydania były zwykle szybko tłumaczone na inne języki, należałoby oczekiwać, że wkrótce zaczną się pojawiać także przekłady *Araukany*. Tymczasem, zanim do tego doszło, z początkiem XVII wieku ta ogromna początkowo popularność zamiera nagle i niespodziewanie na dwa stulecia (w ciągu dwustu następnych lat ukaże się w Hiszpanii zaledwie pięć wydań). Trudno się spodziewać, by w tej sytuacji zagraniczny odbiorca miał na nią zwrócić uwagę. Wprawdzie w roku 1619 została przełożona na język holenderski[2] (co nie powinno dziwić, skoro Niderlandy za panowania Karola V zostały dołączone do Królestwa Hiszpanii), nie decydowały tu jednak względy literackie. Był to zbiór krótkich wyjątków z trzydziestu trzech pieśni, przełożonych prozą, które holenderski tłumacz potraktował jako zachętę dla swoich ziomków eksploratorów (którym udało się już znaleźć drogę na Pacyfik wokół przylądka Horn) do podboju obfitujących w złoto ziem nie opanowanych przez Hiszpanów. Świadczy o tym już tytuł książki: *Rzetelne opisy narodów Chile i Arauko oraz innych krain obfitujących w złoto, a także wojen, jakie ich mieszkańcy prowadzili przeciwko Hiszpanom*[3].

Przekład ten nie wpłynął na popularyzację *Araukany*, bo też nie takie były intencje tłumacza. Co prawda po tematykę araukańską, czerpiąc z teatru hiszpańskiego, zaczęli dość wcześnie sięgać dramaturdzy francuscy, ale były to zaledwie różne formy adaptacji poematu Ercilli dalekie od jego oryginalnej formy. Dopiero pod koniec XVIII pojawiają się fragmentaryczne zrazu przekłady francuskie i angielskie – ważne, gdyż wraz z nimi pokażą się także jego pierwsze uczciwe omówienia dokonywane przez tłumaczy, dostarczające dowodów, że to naprawdę wartościowe dzieło. Po serii przekładów częściowych powstaną wreszcie tłumaczenia pełne. Pierwszy całościowy przekład na język angielski ukaże się w roku 1808 (William Hayley), na niemiecki w roku 1831 (E. M. Winterling), a na francuski w roku 1869 (Alexandre Nicolás). Do roku 1968 liczba wydań *Araukany* urośnie do

siedemdziesięciu czterech[4].

Skąd jednak ta dwuwiekowa przerwa? Ośmielę się postawić tezę, że jej przyczyną nie był obrót koła Fortuny, jak często Ercilla poucza nas w *Araukanie*, ale publikacja przez Cristobala Suareza de Figueroa książki o dokonaniach Garcii Hurtado de Mendoza, jego mecenasa, niegdysiejszego gubernatora Chile; tak się bowiem składa, że spadek popularności *Araukany* zbiega się mniej więcej w czasie z datą pojawienia się pomówień szkalujących poetę (rok 1613) zamieszczonych w tej biografii. Antonio de Sancha, osiemnastowieczny wydawca *Araukany*, w *Przedmowie* do swego wydania wylicza je w taki sposób:

Suárez de Figueroa wytyka Ercilli trzy wady: 1° - że w swojej Araukanie pominął milczeniem don Garcie Hurtado de Mendoza; 2° - że owo milczenie wynikało z jego niewdzięcznego serca, zobowiązanego przecież wieloma łaskami, jakie uzyskał z jego ręki; 3° - że jego historia okazała się niewiarygodna.

Po lekturze epopei wiemy, że zarzuty te są nieprawdziwe. W czasie, gdy Suárez pisał biografię Mendozy, Ercilla, zmarły kilkanaście lat wcześniej, uchodził za jednego z największych poetów Hiszpanii; *Araukana* cieszyła się powodzeniem, a jej tematykę podejmowali inni twórcy w różnych gatunkach literackich. Nie wiemy, czy doktorem Suarezem kierowały jakieś prywatne motywy i osobista niechęć do poety i nie chcemy wiedzieć, przynajmniej ja nie chcę. Jeśli tak było, to winien on zdawać sobie sprawę, że jako autorowi biografii swego chlebodawcy nie przystoi mu uprawiać własnej polityki między jej wierszami. Ponadto winien rozumieć, że kto próbuje psuć reputację zmarłych za pomocą oszczerstw, psuje przede wszystkim swoją własną, a rozpowszechniając kłamstwa o innych, niweczy wiarygodność swego pisarstwa w ogóle. Jak by nie było, ziarno nieprawdy zostało zasiane, wykiełkowało, a roślina zaczęła owocować...



Członkowie plemienia Mapuchów, fot. Muzeum Sztuki Prekolumbijskiej w Chile. Sto dwadzieścia lat później do kłamstw Suareza dorzucił swoje trzy grosze o *Araukanie* i jej autorze oświecony Voltaire (w *Essai sur la poésie épique* wydrukowanym w formie dodatku do jego poematu *Henriade*), a sława jego nazwiska sprawiła, że cytowano go bezkrytycznie, mimo że już w drugim zdaniu swojego *Eseju* mija się on z prawdą, gdy pisze, że Ercilla brał udział w hiszpańskim szturmie na francuską twierdzę Saint-Quentin, w Pikardii, w północnej Francji, choć wiadomo z *Araukany*, że był on w tym czasie w Chile (bitwę, owszem, oglądał, ale we śnie i dzięki interwencji Bellony). Błąd ten jest wielce znaczący, gdyż pokazuje (jak i dalsza treść *Eseju*), że Voltaire *Araukany* nie czytał! Już William Hayley, angielski tłumacz dzieła Ercilli, zwrócił na to uwagę; mimo to opinia publiczna wolała powtarzać bezpodstawne osądy opiniotwórczego Francuza. Voltaire poświęca cztery piąte swojego *Eseju* zachwytom nad zdolnościami pisarskimi Ercilli, którego wychwala ponad Homera, by w pozostałej jednej piątej zaprzeczyć wszystkiemu, co mówił wcześniej, gdy pisze:

Prawdą jest, że jeśli w pewnym miejscu Alonzo wybija się nad Homera, to w całej reszcie jest poniżej najmniejszego z poetów. Dziwimy się widząc, jak nisko upada po osiągnięciu tak wysokiego lotu. W bitwach jest niewątpliwie dużo ognia, lecz

żadnej inwencji, żadnego planu; brak zróżnicowania w opisach, brak jednolitości w formie. Ten epos jest dziwszy niż nacje, o których opowiada. Pod koniec dzieła autor, będący jednym z jego głównych bohaterów, w nocy, w trakcie długiego i nudnego przemarszu z grupą żołnierzy, chcąc wypełnić czymś czas, wszczyna dysputę na temat Wergiliusza, a zwłaszcza epizodu Dydony. Alonzo korzysta z okazji, by podyskutować z żołnierzami o okolicznościach śmierci Dydony, takich, jak je opisują starożytni historycy; a aby skuteczniej skorygować wersję Wergiliusza i przywrócić królowej Kartaginy jej dobre imię, zabawia się w rozprawianie o tym przez całe dwie pieśni. Zresztą kompozycja trzydziestu sześciu bardzo długich pieśni to wcale nie mała wada jego eposu. Zdaje się, nie bez racji, że pisarz, który nie zatrzymuje się lub nie chce tego zrobić, nie powinien oddawać się takiej profesji.

Tak duża liczba wad nie przeszkodziła sławnemu Miguelowi Cervantesowi w stwierdzeniu, że Araukana może być porównywana z najlepszymi poematami włoskimi. Ów fałszywy osąd podyktowała hiszpańskiemu twórcy zapewne ślepa miłość ojczyzny. Prawdziwe i solidne umiłowanie ojczyzny to praca dla jej dobra i obrona jej wolności na tyle, na ile jest to możliwe: zaś wszczynanie sporów dla wspierania jedynie autorów własnej nacji, przechwalanie się, że ma się lepszych poetów niż sąsiedzi, to raczej głupia miłość własna aniżeli ukochanie swojego kraju.

(Przekład z francuskiego - Anna Rucińska).

Od tej więc pory dwie ekspertyzy: oszczercza i nierzetelna, obie bezczelne, miały decydować o dalszych losach epopei poety-konkwistadora. Niewątpliwie osiągały zamierzony cel - odstręczały potencjalnych czytelników i tłumaczy od sięgania po podobno zmyśloną historię stworzoną przez człowieka o nie najlepszej reputacji.



Pedro de Valdivia, jeden z hiszpańskich Konkwistadorów w Chile, za czasów autora „Araukany”.

Jeśli ktoś uważa, że przesadzam z nadawaniem tak wielkiego znaczenia jakimś pojedynczym publikacjom i że zapomnienia *Araukany*, najokrutniejszego wyroku dla Ercilli, nie należy wiązać z krążącymi wszędzie insynuacjami pod jego adresem – jeśli sądzi, że publikowane wymysły powinno się traktować raczej jako mało znaczące anegdoty z jego życia – niech raczy zwrócić uwagę, że w roku 1776, sto sześćdziesiąt lat po ukazaniu się książki Suareza, Antonio de Sancha, pisząc *Przedmowę* do swego wydania *Araukany*, widzi potrzebę poruszenia w niej tych z pozoru anegdotycznych kwestii: przedstawia życiorys poety, a następnie zajmuje się jedynie problemem pomówień Suareza. Zapewne nie podnosiłby tych spraw, gdyby były mało ważne i gdyby nie były rozpowszechnione. Solidne dwutomowe wydanie Sanchy – rzetelne przygotowanie tekstu, dodanie miedziorytu przedstawiającego Ercillę i po raz

pierwszy sztychów ilustrujących sceny z epopei oraz rozkładanej mapy specjalnie w tym celu sporządzonej przez królewskiego geografa, wreszcie skórzana oprawa ze złoceniami - musiało zaskoczyć elitę kulturalną tamtego okresu i obudzić w niej ciekawość poznania dzieła. Nie widać tego wprawdzie w pogrążonej w głębokim kryzysie Hiszpanii, ale w innych krajach stosunek do epopei zaczyna ulegać zmianie.

W Hiszpanii starania Sanchy o przywrócenie dobrego imienia Ercilli były, jak się zdaje, bezowocne, gdyż komentatorzy dzieła Ercilli jeszcze długo powtarzali krzywdzące opinie Suareza, choć z czasem w coraz łagodniejszej formie. Dopiero u współczesnych nam hiszpańskich badaczy literatury, jak Isaías Lerner, chwast nieprawdy jest wreszcie wypleniony do cna. Po czterystu latach!

Polska praktycznie nie miała kontaktów z Hiszpanią ani w czasach Ercilli, ani przez kilka następnych stuleci - jeśli nie liczyć sporadycznych wizyt dyplomatycznych lub bardzo nielicznych prywatnych. Język hiszpański był u nas nieznany. Dzieła hiszpańskich pisarzy docierały do Polaków z dużym opóźnieniem, z początku za pośrednictwem ich przekładów francuskich; na przykład pierwszy polski przekład *Don Kichota*, z roku 1786, został oparty na jego tłumaczeniu francuskim[5]. Pierwsze szersze informacje o *Araukanie* dotarły do Polski nie z Hiszpanii ani z Francji, ale z odległego Chile. Stało się to dzięki książce Ignacego Domeyki *Araucania y sus habitantes*, która przełożona z języka hiszpańskiego na polski ukazała się w Wilnie w roku 1860[6]. Autor przekładu i *Wstępu*, Leonard Rettel (używający pseudonimu Jan Zamostowski), przyjaciel Mickiewicza, osiadły w Paryżu po powstaniu listopadowym, tłumacz literatury hiszpańskiej i działacz emigracyjny barwną polszczyzną przedstawia polskiemu czytelnikowi streszczenie *Araukany* oraz dane o jej autorze w wersji, w jakiej zapewne krążyły wówczas w jego paryskim otoczeniu[7]. W ten sposób, chcąc nie chcąc, przeszczepia opinie Suareza i Voltaire'a (a także inne bajkowe historie) do świadomości Polaków, w której tkwią do dziś. Ignacy Domeyko, który zwiedził Arauko jako enklawę wolnych wciąż w tamtym czasie Indian na terenie Chile, wspominał *Araukanę*, zachwycał się nią i wielokrotnie cytował jej fragmenty w innej swojej książce, *Moje podróże*[8]; jej czytelnik nie miał, niestety, możliwości zapoznania się z chilijskim eposem. Nieznajomość dzieła Ercilli sprzyjała utrwaleniu się zafałszowanych opinii z przeszłości, a także kiełkowaniu ich fantastycznych odrośli. Dziś, w demokratycznym Internecie bez trudu znajdziemy wiele zmyślonych historii na ten temat. Nie będę ich tu przytaczał, aby się nie

przyjęły, gdyż trudno je potem wykorzenić.



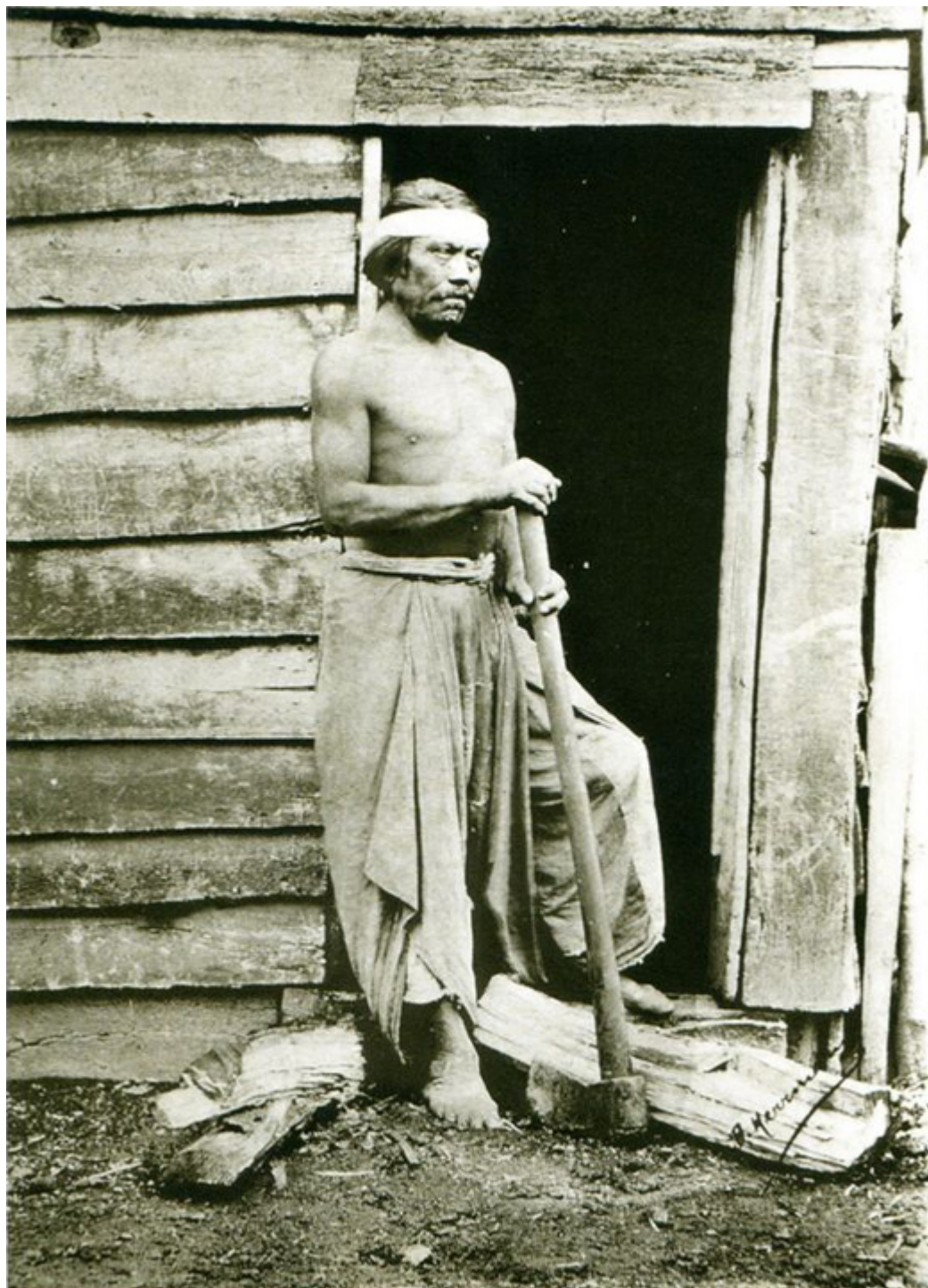
Spółeczność plemienia Mapuchów, fot. Muzeum Sztuki Prekolumbijskiej w Chile. Jest rzeczą zdumiewającą, że tendencyjne opinie zaledwie dwóch nieprzychylnie nastawionych osób z odległej przeszłości mogły tak skutecznie i na tak długo zepchnąć *Araukanę* w niebyt. Jeszcze bardziej niezrozumiałe jest to, że te osobliwości spotyka się i u dzisiejszych autorów piszących o Ercilli. Powie ktoś, że i ja przecież je powtarzam, ba, mało tego, nawet je cytuję; esej Voltaire'a zamieszczam w swoim *Posłowniu* w całości. Owszem, zamieszczam, by każdy, zanim będzie rozgłaszał zdania z niego wyjęte, mógł się z nim zapoznać, a kończąc jego lekturę, mógł sobie zadać, jak ja, pytania: Jak to, i to wszystko? To już koniec? Tylko tyle? A przecież miał to być esej o poezji epickiej! Co w takim razie autor eseju sądzi o literackiej stronie omawianego eposu? Dlaczego nie wspomni słowem o bogactwie językowym, o różnorodności środków wyrazu, o figurach stylistycznych, o wspaniałych opisach postaci, krajobrazu, zjawisk przyrody, o plastycznych opisach walk? Dlaczego nie przytoczy przykładów licznych sentencji, złotych myśli, rad,

refleksji autora? Czemu nie dostrzega rozbudowanych, zaskakujących czytelnika przenośni, porównań? Czemu nie widzi humoru w epopei czy zabawnej gry słów? Czemu nie odniesie się do jej wierności normom klasycznym i nie wypowie na temat jej renesansowego charakteru? Czy nie robią na nim wrażenia bogate wyliczenia, powtórzenia intensyfikujące lub łagodzące bieg narracji, budujące nastrój i ożywiające rygorystyczny schemat oktawy? Czy nie budzi jego podziwu umiejętność wplecenia w treść oktawy kilkunastu (a rekordowo dwudziestu trzech) imion własnych?

Potwierdza się podejrzenie, że Voltaire nie czytał *Araukany* i znał tylko niektóre jej epizody - prawdopodobnie z opowiadania innych osób. Nie przeszkadza mu to bynajmniej w ferowaniu autorytatywnych wyroków, gdyż ma jedynie ochotę dopiec Hiszpanowi Ercilli, a przy okazji i Cervantesowi.

Każdy czytelnik krytyki Voltaire'a zdziwi się, jak ja, że to przecież wcale nie jest esej o poezji epickiej. Voltaire porównuje treść i konstrukcję wypowiedzi jednego z bohaterów *Araukany*, Kolokola, z treścią i konstrukcją mowy Nestora w *Iliadzie* i stwierdza, rozpatrując logikę ich wywodów, że Ercilla jest lepszym poetą niż Homer. Ocenia Ercillę i Homera tak, jakby byli autorami traktatów filozoficznych, a nie poezji; ocenia trafność ich argumentacji i zasadność ich rozumowania, a nie styl, w jakim się wypowiadają! Nie mam ochoty odnosić się do kategorycznych wyroków padających w końcowej części *Eseju* - powiem jedynie zdanie na temat, który tak zdenerwował jego autora: Dydona. Rzeczywiście opowieść o Dydonie jest długa, ale nie zajmuje dwóch pieśni, jak twierdzi krytyk, a połowę pieśni XXXII i połowę XXXIII. Gdyby Voltaire przeczytał uważnie część drugą *Araukany*, napotkałby tam Bellonę i Saint-Quentin, i turecką inwazję na Cypr i Malte, i czarnoksiężnika Fitona, i Lepanto, i atlas świata, a w każdej pieśni spotykałby Marsa lub Fortunę. Czy i wtedy reagowałby tak ostro tylko na Dydonę? A może zechciałby pójść jeszcze dalej - jak zrobi chilijski wydawca poematu Ercilli, Abraham König, który w swym wydaniu w roku 1888 usunie z *Araukany* wszystkie epizody niearaukańskie, chcąc tym sposobem stworzyć jednolitą treściowo epopeję narodową Chilijczyków. Przekonałby się wtedy, tak jak przekona się König, że czytelnicy wolą ją w wersji, jaką zaproponował Ercilla. Ja, nie zastanawiając się nad tym, czy mi się obecność Dydony w poemacie podoba, czy nie, będąc człowiekiem tolerancyjnym, akceptuję decyzje autora działającego w ramach estetyki renesansowej - dla której nawiązywanie do

przykładów antycznych stanowiło imperatyw lub okazję do popisania się erudycją – bo nie mniej to oceniać. A swoją drogą historia Dydony jest napisana dobrze i ciekawie, zaś logiczne argumenty Ercilli podejmującego dyskusję z Wergiliuszem powinny się Voltaire’owi podobać (gdyby je przeczytał).



Mężczyzna z plemienia Mapuchów, fot. Muzeum Sztuki Prekolumbijskiej w Chile.



Kobieta z plemienia Mapuchów z dzieckiem, fot. Muzeum Sztuki Prekolumbijskiej w Chile.

Może Czytelnik będzie zaskoczony, że w podsumowaniu swej siedmioletniej pracy nad przekładem *Araukany* zająłem się zaledwie jednym, wąskim, a dla niektórych pewnie mało istotnym zagadnieniem, tym bardziej, że przy obecnym stanie wiedzy o tej epopei i jej autorze w Polsce mamy wiele do nadrobienia. Otóż ja, zamiast się rzucać do naprawiania od razu wszystkiego, postanowiłem zająć się na początek przynajmniej jednym, najważniejszym - przywróceniem dobrego imienia Ercilli,

który, objawiając w swych pięknych strofach kunszt poetycki, wrażliwość i humanizm, godzien jest naszego szacunku i zachwytu. Nie wiem, czy mi się to uda, ale przynajmniej próbuję. Analizę literacką dzieła pozostawiam specjalistom, a ocenę mojego przekładu - Czytelnikom.

Fragment „Posłowia” z trzeciego tomu „Araukany”

Czesław Ratka na Culture Avenue:

<http://www.cultureave.com/poeta-zapomniany-czesc-i/>

<http://www.cultureave.com/witaj-swiecie/>

[1] *La Araucana: de Alonso de Ercilla y Zúñiga; ilustrada con grabados, documentos, notas históricas y bibliográficas y una biografía del autor: Ilustraciones I, autor publikacji: José Toribio Medina, Imprenta Elzeveriana, Santiago de Chile 1917; Ilustración X - Bibliografía de La Araucana.*

Wydanie internetowe: Biblioteca Virtual Miguel de Cervantes, Alicante 2007:

<http://www.cervantesvirtual.com./obra/la-araucana-ilustraciones-0/>

[2] Medina, dz. cyt., *Ilustraciones II*, Santiago de Chile 1918; *Ilustración XXII - Traductores de La Araucana.*

Wydanie dostępne w Internecie: Biblioteca Virtual Miguel de Cervantes, Alicante 2007:

<http://www.cervantesvirtual.com/obra/la-araucana-ilustraciones-ii-0/>

[3] Przekład własny z hiszpańskojęzycznej wersji tytułu podanej przez Medinę (tamże).

[4] Alonso de Ercilla, *La Araucana*, oprac. I. Lerner, Cátedra, Madrid 2005, str. 55.

[5] Wojciech Charchalis we wstępie do swego tłumaczenia *Don Kichota* (Miguel de Cervantes, *Przemysłny szlachcic Don Kichot z Manczy*, Rebis, Poznań 2014, str. 41).

[6] Ignacy Domeyko, *Araukania i jój mieszkańcy: wspomnienia z podróży po południowych prowincjach rzeczypospolitej chilijskiej*. Nakładem Biblioteki Kórnickiej, Wilno 1860.

[7] Przekład Rettela wraz z jego *Wstępem* jest dostępny w Internecie na stronie Cyfrowej Biblioteki Narodowej: <http://www.polona.pl/dlibra/doccontent2?id=21594>

[8] I. Domeyko, *Moje podróże t. II*, Ossolineum, Wrocław - Warszawa - Kraków 1963.

Lwowiak Jan Chmieliński spod Gór Księżycowych - obecny i nieobecny w polskim Londynie

Nina Taylor-Terlecka

Syn aktora Józefa Chmielińskiego, uczeń c.k. gimnazjum III im. Franciszka Józefa, absolwent UJK, dyplomata, który odbył wieloletnią służbę w konsulacie R.P. w Paryżu. Jako nastolatek pisał duży poemat w duchu Verhaerena, nieco starszy przełożył *Zwiastowanie* Claudela. Wiele tłumaczył z francuskiego, wiele napisał też własnych wierszy, choć nie wybiły się one ponad przeciętność. Potem tłumaczył polską poezję na francuski, był też pierwszym tłumaczem Kazimierza Wierzyńskiego na francuski. W konsulacie nadsekwańskim napisał szopkę, za którą można by go zwolnić na zawsze ze stanowiska MSZ. Ewakuowany wraz z ministerstwem we wrześniu 1939 r., jechał przez Rumunię, Turcję, Palestynę, aż do Ugandy, gdzie był konsulem R.P. w okresie, gdy przebywali tam uratowani zesłańcy z Gułagu. Po zamknięciu placówki dyplomatycznej w 1945 r. przekazał godło Orła Białego w ręce księcia Eustachego Sapiehy na wieloletnie przechowanie. Stając *en vis à vis du rien* zaciągnął pożyczkę i zakupił sobie 500 akrów ziemi w starym królestwie Toro, zasadził krzewy herbaciane i kawowe, i starał się utrzymywać z plantacji.



Leopold Gottlieb, Portret Jana Chmielińskiego, Zakopane 1919 r., reprodukcja obrazu olejnego, fotograf nieznan, fotografia wykonana w latach 30. XX wieku, papier fotograficzny 20,5 x 17,2, fot. Zbiory Ikonograficzne i Fotograficzne Muzeum Narodowego w Warszawie, kopiowanie zabronione.

W 1951 roku Chmieliński otrzymał obywatelstwo brytyjskie i wystartował drugi raz na niwie pisarskiej. Bodziec do drugiego debiutu literackiego przyszedł z kraju. W 10-tą rocznicę śmierci ojca otrzymał od Romana Ingardena z Krakowa prośbę o przysłanie materiału biograficznego dla Kornela Makuszyńskiego, który zamierzał

pisać artykuł o aktorze dla Encyklopedii.

Zacząłem od "Drogi Panie Kornelu" i nim się ocknąłem - z tego "wstępu" zabrnąłem do Gmachu Skarbkowskiego - i łupnąłem 16 stron jednego wieczora - a tu „kuda im” do końca biograficznej notatki - dopiero mam 3 lata po tych 16 stronach - i tak zacząłem brnąć w zakamarki dzieciństwa szukając w nich mego ojca.

Nakreśliwszy parę słów do Tymona Terleckiego z prośbą, aby przed wysłaniem do Makuszyńskiego sprawdził i poprawił błędy faktograficzne, "bo przecież poza moją dość kiepską pamięcią nie operowałem żadnym absolutnie materiałem", skrypt nadał do siostry zamieszkałej w Londynie. Terlecki - lwowiak i teatroman - zareagował pozytywnie na jego tekst, a Grydzewski wyraził zgodę na druk.

„Dziękuję za Chmielińskiego - pisał do Terleckiego - mam tylko wątpliwości co do formy Kazimierzowa Wierzyńska Jarecka”. Terlecki powiadomił autora, iż tekst został przyjęty, a od siebie namawiał ziomka do zapisania afrykańskich wrażeń i przygód. Tymczasem Grydzewski miał mieszane uczucia, bowiem po paru dniach pisał znowu do Terleckiego: „Dziękuję za śliczne wspomnienie. I jaka szkoda, że Chmieliński był takim okropnym aktorem”. Po druku szkicu *Z Dijon przez Warszawę do Ugandy*, gdzie przedstawia sceny wymowne lub historycznie przełomowe, w które wpisuje chwile subiektywnie przeżywane, redaktor bronił się przed nawałem maszynopisów, a co do Chmielińskiego "proszę o nieprzesyłanie dalszego ciągu dopóki z tym się nie uporam, A przecież jest jeszcze Fryling, który ma pierwszeństwo".

Dopiero na jesieni wydrukował trzy odcinki wspomnień Chmielińskiego pod ogólnym tytułem *Dom mojego ojca*. Przeczytawszy je Jan Lechoń - dawny kolega z Paryża - wysoce pochwalił jego pisarstwo.

Jaś Chmieliński zupełnie świetny - pisał do Grydza - to nie tylko sentyment, ale już styl, czyli literatura. Napisz mu, jak bardzo zachwycał się nim i że go najserdeczniej pozdrawiam.

Niebawem Lechoń wraz z Józefem Wittlinem nadał audycję o nim na falach Radia

Wolna Europa w Nowym Jorku. Nie żeby wszyscy abonenci "Wiadomości" londyńskich tak się zachwycali jego reminiscencjami. W ostatnim numerze grudniowym wydrukowano list oburzonego czytelnika na prowincji:

J.B. w Wolverhampton:

„Wiadomości” zaprenumerowałem tylko dlatego, że Panowie energicznie poruszyli (początkowo!) sprawę Norwida i jego twórczości. Teraz cisza! To bardzo przykre! W rubryce: Czytelnicy o „Wiadomościach”, nie ma nic ciekawego, to straszny „rubbish” - naprawdę szkoda cennego papieru! Jeden artykuł, taki np. jak Lechonia o literaturze polskiej w nr. 332/337 - zrobi więcej dla „Wiadomości” niż tysiące bzdur wypisywanych przez różnych „literatów” we wspomnianej rubryce. A gdzież jest Norwid, Norwid, Norwid? Coś o Norwidzie! Czemu taka kłopotliwa cisza o Norwidzie? Czyżby nowa... zmowa milczenia, skoro pisze się o różnych „domach mojego ojca”, a nie ma miejsca dla Norwida?... W każdym razie dzięki za Goetla „Polska legenda” w nr. 346, Terleckiego „Wejrzenie na Słowackiego” w nr. 340 (z niecierpliwością czekam, aby Terlecki coś napisał o Norwidzie), Schoenfelda „Niebo gwiazdziste nade mną” w nr. 344.

Druk takiej opinii w okresie świątecznym i to w szpalcie zawierającej mdłe wyrazy hołdownicze pod adresem pisma, wygląda na świadomą złośliwość redaktora. Chmieliński, nieco obruszony, palnął niby humorystyczną ripostę.

Najbliższym cargo, które wychodzi z Mombasy za trzy miesiące, wyślę skrzynię, zawierającą pierwszych 7 rozdziałów mego nowego utworu p.t. „DOMEK MOJEJ BABCI” osnutego na tle znanej piosenki:

“Zbudujemy naszej babci domek maaały...”

Jeżeli utwór ten uzyska - w co nie wątpię - aprobatę Szanownej Redakcji proszę uprzejmie o opublikowanie na łamach jej poczytnego pisma pierwszych 3 tomów pism Cypriana Kamila Norwida z przypisami Zenona Przesmyckiego i skierowanie należnego wierszowego na mój adres w Ugandzie.

Mam niepłonną nadzieję, że moja skromna inicjatywa znajdzie naśladowców, dokonując tym samym dawno czekanej zmiany grafomańskiego „rubbish” na

brylanty naszej literatury.

Jeżeli list został wysłany, nie bez racji wylądował pewnie w koszu.



Pokój redaktora londyńskich „Wiadomości”, fot. Biblioteka Uniwersytecka Uniwersytetu im. Mikołaja Kopernika w Toruniu.

Dzięki publikacji na łamach „Wiadomości” zagubionego pod równikiem literata odnaleźli dawni przyjaciele – Jan Fryling (choć jako kolega szkolny mogli być w kontakcie wcześniej), Józef Wittlin, a przede wszystkim Wacław Zyndram-Kościałkowski (podwładny Chmielińskiego w paryskim konsulacie) oraz jego żona Janina, także kobieta pióra. Kilka tygodni wcześniej zanim ukazała się nagana zniesmaczonego mieszkańca Wolverhampton, Towarzystwo Przyjaciół Teatru Polskiego w Londynie poprosiło Chmielińskiego o odczyt. W połowie grudnia 1952 roku, w krytym słomą okrągłaku u stóp Gór Księżycowych, były dyplomata zasiadł do spisywania wspomnień z teatru polskiego w Wiedniu podczas I wojny światowej. Gdy maszynopis nie dotarł zawczasu na imprezę, Terlecki przekazał go Grydzewskiemu,

który lakonicznie potwierdził odbiór: „Dziękuję za Chmielińskiego” i dał tekst do numeru wielkanocnego.

Zdaje się, że Chmieliński wysyłał swoje skrypty do Terleckiego, który może po retuszowaniu przekazywał je potem redaktorowi. Grydzewski dwa artykuły odesłał mu, gdyż “o Pawlikowskim drukowaliśmy niedawno trzy artykuły Frylinga i jeden Nowakowskiego”. Na domiar złego – Grydzewski przekonywał –

...jest to znowu artykuł o Chmielińskim. Bardzo szanuję uczucia synowskie, ale przecież jest to zupełny portret imaginacyjny. Chmieliński był jednym z najgorszych aktorów jakiego moje oczy oglądały.

Mimo to latem – że to sezon ogórkowy? – dał do druku *Imieniny ojca i chrzciny nowego teatru*, o uroczystym otwarciu Teatru Miejskiego we Lwowie, oraz *Teatralne wakacje*, o występach gościnnych lwowskiego zespołu aktorskiego w Krynicy. Skrypt uległ widocznie cięciom czy innym poprawkom, Chmieliński bowiem narzekał, że:

Grydzewski, a może Tymon Terlecki różne smaki powylizywali z tego krynickiego pieczywa. N.p. o Pietrzyckim pisałem ex re jego krynickich kawałów, że „najwidoczniej kupując w lipcu returkę <Lwów-Muszyna> dawał zasłużony urlop Muzie Anakreonta, z którą spędzał hibernalia, a po krynickim deptaku uganiał ze swawolną Muzą Apulejusza”.

Tymczasem jego sugestywne wskrzeszenie minionego świata wywoływało u czytelników uczuciowy odbiór, wzbudzało tkliwe wspomnienia. Powodowało, że wznowiły się i ożywiły stosunki i zbliżało ludzi rozproszonych w diasporze. Szczególne wrażenie zrobiła istna litania nazwisk (opatrzone czasem krótką charakterystyką) członków zespołu, pozujących do zdjęcia na schodach teatru krynickiego przed I wojną światową. W tym przypadku, za pośrednictwem Jana Frylinga w Indiach, Stefan Badeni nawiązał kontakt z Chmielińskim, żeby prosić o przysłanie mu kopii wspomnianej fotografii.

Wielki to dla mnie komplement – pisał potem plantator – bo z tego zdjęcia mam tylko pamięciową odbitkę i to z r. 1914-go albo 18-go – bo po tamtej wojnie fotografia ta zaginęła w przeprowadzkach.

W tymże artykule Chmieliński zgłasza swoje chłopięce uwielbienie dla pięknej Beatrice Grekówny:

„Tryczko”! Damo, już pewnie dziś siwowłosa, ale z tym samym profilem greckiej kamei, jaki Cię zdobił przed laty, jeśli dojdą do Ciebie te słowa w dalekiej Brazylii, przyjmij je jako moje pierwsze wyznanie adoracji dla kobiecej urody, spóźnione o lat pięćdziesiąt.

Ukochana jeszcze przed wojną zamieszkała z mężem w Cincinnati, gdzie słynąc z urody pojawiała się nierzadko w kronice towarzyskiej lokalnej prasy. Po ukazaniu się wspomnienia Chmielińskiego starsza pani odezwała się doń. Była wdzięczna za pamięć, która po 6 latach ciężkiego chorowania w sanatorium na gruźlicę dodała jej sił do dalszej walki o życie. Poza meritum literackim, „Wiadomości” w życiu emigrantów działały jako wielka sortownia, skrzynka pocztowa czy klub towarzyski: literata z Ugandy czytają przyjaciele w Delhi, w Cincinnati i Laloubère. To poniekąd przyczynia się do nadania pismu cech *Familienblatta*. Przy tym pismo spełniało rolę terapeutyczną. Umniejszało poczucie osamotnienia. Wiązało koniec z początkiem.

Przy tym krótki epizod współpracy Jana Chmielińskiego z literackim Londynem daje wgląd w kuchnię i politykę redaktora. Grydzewski uzasadniał swoją niechęć do współpracownika m. in. tym, że po pierwszej serii wspomnień jeden z przyjaciół Chmielińskiego napisał do redakcji „list wytykający dziesiątki zasadniczych błędów”. Skarżył się:

Zwracam Chmielińskiego: to w kółko to samo, poza tym roi się od nieścisłości. Jak można nie wiedzieć, że staremu Leszczyńskiemu było na imię Bolesław, a nie Stanisław? Słynna sypka z Lenartowiczem, to Kotarbiński. Wincenty Brzozowski spędził ostatnie lata przedwojenne w Warszawie, nie słyszałem by wyjeżdżał do Paryża. Poza tym to maniactwo ze starym Chmielińskim, aktorem wręcz okropnym.

Chmieliński sam stwierdził, że Terlecki go namawiał na pisanie korespondencji z Afryki, choć sądząc z początku *Listów*, powstały one z zachęty Janiny i Wacława Zyndram-Kościółkowskich.

Pisze mi Pani, że moje afrykańskie listy czytacie „na wrywki” — zaciekawieni wszystkim co mnie otacza. Zadajecie mi mnóstwo pytań, czekając cierpliwie na moje nieczytelne gryzmoły, które wam przyniosą na nie odpowiedź, a po tej odpowiedzi przychodzą dalsze pytania, coraz kłopotliwsze, i to z dopiskiem Pani, jak w ostatnim liście: „Szkoda że nas tu dwoje tylko na tej zabitej deskami od świata prowincji pirenejskiej do odczytywania — choć z trudem i czasami przez lupę — bo to, co Pan pisze interesowałoby wielu takich jak my prowincjuszów.

Od którego z pytań mam zacząć? Czy od tego ile słoń i bawołów ubiłem w Afryce, czy i czym tłukę Murzynów, co czytam, co piję i w jakich ilościach, jak się sadzi kawę, czy jeszcze maluję, czy mam czarne hurysy, ile, w jakim wieku, czy Mau Mau do mnie podchodzą, jak daleko ode mnie teatr i kino, jak się chronię przed wężami i moskitami, jak to się dzieje, że jeszcze nie straciłem humoru, jak to się stało, że ja, ongi cygan paryski, trochę malarz, trochę muzyk, a z fachu „bubek z emeszetu”, osiadłem na roli i to w centrum Afryki?

Trzy wykoncypowane przezeń listy miały zawierać opowieści o leśnych zwierzętach, o przejściu autora z urzędasza na hreczkosieja oraz anegdoty o plantacji, plantatorach i murzynach. Terlecki przekazał skrypt Grydzewskiemu, który mu odpisał:

Co się tyczy listu afrykańskiego, musiałby zająć całą stronę. Gdyby Pan chciał wyłuskać z niego historię ichneumona bez dygresji - zgoda.



Uganda, u stóp Gór Księżycowych.

Chmielińskiego powiadomiono, że choć sama rzecz podobała się, nie mogą jej dać w całości, bo za długa i zajęłaby całą stronę „Wiadomości”. Chcieli, żeby Terlecki skrócił od czego on się na szczęście wymówił - no i tak listy te wiszą w powietrzu.

Grydzewski upierał się, żeby nie dać ich do druku, a Terlecki toczył z nim “homeryckie boje”. Walka o przełamanie oporu redaktora trwała rok, aż wreszcie doszło do kompromisu. Obolały Chmieliński donosił:

z I-go listu zrobiono dwa, a poza tym porobiono - jak mi pisze p. Kościółkowska, bo sam tego nie widziałem jeszcze w druku - sporo wycinanek. Bardzo takich operacji nie lubię.

A Grydzewski, nie bez irytacji, pisał do Terleckiego:

Chmielińskiego zrobiłem tylko dla Drogiego Pana. Dziesiątki razy prosiłem autorów o przysyłanie maszynopisów na interlinii, z marginesami i nie na bibułce. Nie wiem dlaczego nie można się do tego stosować i dlaczego mają się męczyć

naprzód Pan, potem ja, a wreszcie maszynistka. Ani Józef, ani Jan, ani Rikki tego nie warci.

Listy z *Czarnego Łądu* ukazały się drukiem po całorocznym czekaniu. Ostatecznie za dziewięć artykułów redaktor nie wypłacił Chmielińskiemu ani jednego grosza honorarium. I nie zamierzał korzystać więcej z jego pióra, mimo że Jan Fryling podziwiał jego stylistykę, a w rubryce "Czytelnicy o <<Wiadomościach>>" niejaki J.W. z N. Yorku nazwał go "zespołem talentów". Plantatorowi nie najlepiej też wyszła współpraca z redakcją "Życia" w Londynie, gdzie ukazał się odrzucony przez Grydza artykuł o Pawlikowskim.

W art[ykule] o Pawlikowskim, który się ukazał w „Życiu” kwietniowym, z “Cepnika żołądnego”, tj. owada który boruje żołądzie na dębie, zrobiono Cepnika żołądkowego. A że określiłem tę nazwę w tekście jako “entomologiczną” wychodzę w tym żołądkowym ujęciu na zupełnego kretyna (...). Pociesza mnie tylko myśl, że większość czytelników „Życia”, gustująca w Żywotach Świętych, Świętych Męczenników i Życiu Przykładnym Św. Zyty, nie wie co to entomologia.

Narzekał: "Bardzo [...] nie lubię poprawek redakcyjnych bez sensu". A mógłby jeszcze wytknąć adiustatorowi, że w druku zmieniono mu Maeterlincka (autora *Wnętrza*) na "Maeternicka". Chmieliński przesłał również do Londynu artykuł o Stanisławie Szukalskim, z którego redakcja

wydłubała wszystkie rodzyнки i wycięła wszystkie gruczoły łącznie z męskimi - i w tym stanie przysłała mi do aprobaty. Napisałem, że wycofuję artykuł i chcę go posłać do Ameryki na ręce Janty [...].

I na tym bodaj skończyłby się epizod jego współpracy literackiej z polskim Londynem, gdyby nie Tymon Terlecki, który

przestraszył mnie wiadomością, że mój bezpretensjonalny artykuł o pomniku Mickiewicza we Lwowie - przesłał do zbiorowego wydawnictwa zamierzonego na 100-lecie Mic[kiewicza]. Jeśli co nie daj Boże zamieszczą - będę wyglądał zgoła śmiesznie w towarzystwie naukowców. Nie wiem co Terl[eckiemu] strzeliło do

głowy.

Czy Chmieliński samorzutnie napisał ten szkic, czy na prośbę Herminii Naglerowej, inicjatorki i pierwszej redaktorki serii "Żywych", wydanej przez Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie, trudno ustalić. Wydawałoby się, że Naglerowa zaprosiła go do kolejnej książki, czyli do tomu "Wyspiański Żywy", który z powodu choroby, a potem śmierci pani Herminii, Terlecki musiał wykończyć. Tam ukazał się szkic Chmielińskiego o paryskiej inscenizacji *Wesela* w przekładzie Łada-Cybulskiego, za co otrzymał królewskie honorarium dwu funtów. Tymczasem w archiwum Terleckiego nie ma śladu po dyplomacie - plantatorze, którego kontakty z polskim Londynem wymagają dalszych badań.

Artykuł został zaprezentowany podczas sesji naukowej p.t. „Zapomniani pisarze emigracyjni”, która miała miejsce w ramach Targów Książki w Warszawie w maju 2017 r.

Poeta zapomniany. Część I.



Czesław Ratka w Madrycie

W październiku 2017 roku ukazał się III tom i ostatni niezwyklego tłumaczenia na język polski XVI-to wiecznego narodowego eposu Chile o wojnie hiszpańskich Konkwistadorów z chilijskim plemieniem Mapuchów, autorstwa Alonso de Ercilla y Zuñiga, naocznego świadka wydarzeń. Tom I „Araukany” w polskim tłumaczeniu ukazał się w 2013 roku, a w roku 2016 tom II. Tłumacz, pan Czesław Ratka to polski inżynier elektronik, pasjonat literatury, mistrz pióra, nagrodzony w 2013 roku przez Instytut Cervantesa w Polsce za tłumaczenie literackie. Autor tego unikalnego przekładu pisze o genezie utworu, trudnej historii Chile i swojej benedyktyńskiej pracy.

Redakcja

Czesław Ratka

Z pierwszymi wzmiankami o istnieniu trzyczęściowej wierszowanej relacji z walk o opanowanie przez Hiszpanów terytoriów chilijskich zatytułowanej *La Araucana*, autorstwa Alonsa de Ercilla y Zuñiga, zetknąłem się prawie pięćdziesiąt lat temu. Nie przypominam sobie, w jakiej książce, ani kto był jej autorem, ale pamiętam, że pierwsza część eposu była w niej chwalona, druga była krytykowana za obecność wtęretów niezwiązanych z historią podboju oraz wstawek fantazyjnych, a trzecia – uznana za najgorszą, jako zlepek przypadkowych, niespójnych treści na różne tematy. Pamiętam też, że taką samą, lub podobną, opinię spotykałem później

wielokrotnie w różnych tekstach na temat konkwisty, pisanych przez różne osoby. Taki sposób przedstawienia epopei chilijskiej nie zachęcał do sięgnięcia po nią. Dzisiaj wiem, że była to ocena historyka poszukującego u dawnych autorów faktów o konkwisie, a nie miłośnika poezji epickiej. Wartości literackie nie miały tu żadnego znaczenia.

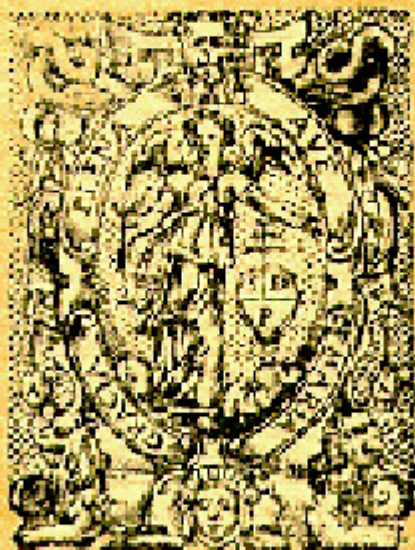
Dziewięć lat temu natrafiłem w Internecie na pełen tekst epopei Ercilli i zrozumiałem od razu, dlaczego uchodziła za nieprzetłumaczalną. Jest napisana oktawą rymowaną (na wzór włoskiej *ottava rima*) - wers jedenastozgłoskowy, rymy *abababcc* - z takim bogactwem treści i form językowych, że trudno sobie wyobrazić możliwość oddania całego mistrzostwa autora w innym języku przy jednoczesnym zachowaniu rygorystycznej formy. Zrobiłem własną przymiarke do przełożenia choćby jednej oktawy, ale po kilku dniach się poddałem. Osiemnaście miesięcy później powtórzyłem próbę, tym razem z sukcesem.

Obecnie mam przed sobą dopiero co odebrany z drukarni trzeci (ostatni) tom mojego przekładu. Poprzednie ukazały się w latach 2013 i 2016. Praca nad częścią pierwszą (1136 oktaw) trwała trzy lata, nad częścią drugą (966 oktaw) - dwa i pół roku, a nad trzecią (530 oktaw) - piętnaście miesięcy; przy czym ta trzecia jest objętościowo wyraźnie mniejsza. W sumie 2632 oktawy, czyli ponad 21 tysięcy wersów.

LA ARAUCA

na de don Alonso de Er-
cilla y çuñiga.

DIRIGIDA A LA SACRA
Catholica Real Magestad del Rey
Don Phillippe nuestro Señor.



EN SALAMANCA,
En casa de Domingo de Portonarijs, Impres-
sor de su Catholica Magestad.

1574

Con privilegio de Castilla, y de Aragon.
A costa de Vicente, y Simon de Portonarijs.

Este es el verso a *maravilla del pliego.*

Renesansowe wydanie „Araucany”.



Alonso de Ercilla y Zúñiga na dawnej rycinie.

Alonso de Ercilla y Zúñiga urodził się w Madrycie w roku 1533. Wcześnie osierocony przez ojca, jurystę, członka Rady Królewskiej, był wychowywany na dworze późniejszego króla Filipa II, gdzie otrzymał solidne wykształcenie. Jako paź księcia brał udział w każdej jego podróży, dzięki czemu poznał wiele krajów Europy. W wieku 21 lat, świeżo pasowany na rycerza, dowiedziawszy się o buncie Indian chilijskich, Mapuczów (których później nazwie Araukanami), udał się do Chile, by

mieczem udowodnić swoje oddanie dla króla i kraju, i zakosztować przygód. Egzotyka Nowego Świata, ogrom przeżyć, a przede wszystkim podziw dla Mapuczów - którzy, jako jedyne plemię indiańskie zachowają swoją niezależność przez trzysta pięćdziesiąt lat - sprawiły, że poczuł potrzebę uwiecznienia ich za pomocą pióra; i choć wielu chwali jego wyczyny wojskowe, on sam pisze o tym tak:

*Kroku w prowincji tej nie wykonano,
Żebym go własną stopą nie przebadał;
Ciosu ni pchnięcia nożem nie zadano,
Bym nie powiedział, kto tę ranę zadał;
Owszem, w potyczkach mało mnie widziano,
Gdyż to, com widział, i co opowiadam,
Tak bardzo umysł mój oczarowało,
Że ramię miecza dobyć zapomniało
Jeśli skłoniło mnie coś, bym to spisał-
Choć talent marny, a styl mój koślawy -
To chęć, by czyny przetrwały w zapisach
I żeby czas ich niesłusznie nie strawił.*

Opisywał na gorąco to, czego był świadkiem i to, czego się dowiedział o wydarzeniach wcześniejszych od ich uczestników. Wziął udział w siedmiu walnych bitwach, między innymi w tej, która zadecydowała o upadku indiańskiego powstania; a choć opisywana kampania kończy się wygraną Hiszpanów, w wierszach jego nie znajdziemy nut tryumfu. Dostrzega okrucieństwo i odczuwa moralne wyrzuty za uczestnictwo w przedsięwzięciu, które nie przynosiło chluby Hiszpanom. Skoro jednak obiecał opowiedzieć rzetelnie wszystko do końca, pisze w zakończeniu pieśni XXXI:

*Nie wiem, jakimi słowy ten szturm krwawy
Opowiem, jakim sposobem wyrażę
Tę słuszną litość i słuszną nienawiść,
Bo obie zawsze zjawiają się razem.
Duch to stanowczy, to pełen obawy
Mnie powstrzymuje i wątpić mi każe,
Bo gdy współczucie i żal wzbudzę w sobie,
Potępię, jako złe, to, co tu robię.
Jeśli pominę ten atak na bramę
I tak po uszy jestem weń wplątany,
Jeśli to tutaj zostawię w tym stanie,
Źle się wywiążę z obietnic składanych;
Tak więc wątpiący w dobre rozwiązanie,
Przeciwnościami tymi wciąż targany
Do innej, nowej pieśni to odkładam,
Ponieważ jest mi potrzebna porada.*

Jeżeli dzisiaj, na fali refleksji nad niesławnym aspektem podboju Ameryki, rozpoczętej przy okazji pięćsetnej rocznicy pierwszej podróży Kolumba, oryginalne relacje z podboju, tak niedawno jeszcze mające swoją sekcję w każdej większej księgarni w Hiszpanii, są *démodé*, to mamy tu przykład, że nie powinniśmy każdego z jego uczestników oceniać tak samo. Dowodów takich jest w *Araukanie* niemało.

Ercilla spędził w Chile zaledwie siedemnaście miesięcy. Jego przygoda skończyła się nagle w sposób dla niego fatalny. W trakcie świętowania nowiny o koronacji Filipa II wdał się nierozważnie w pojedynek z innym młodym szlachcicem, za co gubernator García Hurtado de Mendoza, główny dowódca wojsk hiszpańskich, skazał obu na ścięcie. Surowy ten wyrok został wprawdzie wkrótce zamieniony na wygnanie z Chile, miał jednak wpływ zarówno na życie poety, jak na losy jego poematu:

*Święto zakłócił traf nieprzewidziany,
A sędzia taką skwapliwość wykazał,
Żem wnet na suknie stał jako skazany,
Bo mnie na gardle zaraz karać kazał;
Złoczyńcą stałem się zdeprawowanym,
Jak to publiczna pogłoska rozgłasza,
Przez to jedynie, że za miecz chwyciłem,
Choć go bez racji nigdy nie dobyłem.*

Po powrocie do Hiszpanii autor wydał drukiem pierwszą część swojej epopei (w roku 1569). Cała miała opowiadać wyłącznie o wojnie, jak zapowiada już w pierwszej oktawie:

*Nie o miłości śpiewam, nie o damach,
Nie o konkurach szlachetnych rycerzy,
Nie o ich troskach, czułościach, staraniach
Ani o głębi ich miłosnych przeżyć,
Lecz o odwadze i o dokonaniach
Owych walecznych hiszpańskich żołnierzy,*

Którzy na karki wolnych Araukanów

Włożyli jarzmo po krwawym zmaganiu.

I tak rzeczywiście jest – przeplatają się w niej dwa wątki: araukański i konkwistadorski. Wprawdzie pod koniec pojawia się epizod miłosny, ale akceptujemy go, gdyż przedstawia pożegnanie jednego z głównych bohaterów, mającego zginąć, z żoną, co przywołuje nam w pamięci scenę pożegnania Hektora z Andromachą w Iliadzie, a takie nawiązanie do wzorów antycznych jest u renesansowego poety zrozumiałe. Autor sam jednak zaczyna wątpić w słuszność zawężenia tematyki do spraw Marsowych, które sam sobie narzucił:

Jużem to chciał tu zostawić, uznając,

Że trwa zbyt długo i znuży każdego

(Kiedy prawdziwy bieg spraw przybliżając,

Trzymam się ciągle tematu jednego);

Bo słowa tak się gładko nie składają

I nie ma nigdzie pióra tak nośnego,

By długo pisząc, w rutynę nie wpadło –

Jak nie ma jada, by się nie przejadło.



Bitwa pomiędzy Hiszpanami i Mapuchami, rycina z poematu epickiego „La Araucana” Alonso de Ercilla y Zúñiga, wyd. Madryt 1884, red. J. Gaspar, s. 168. Część pierwsza została przyjęta bardzo dobrze, a autora spotkały zaszczyty zachęcające go do kontynuowania dzieła. Dziewięć lat później ukazuje się drukiem część druga, a zachwycony Garcíá Hurtado de Mendoza, gubernator Chile – ten, który kiedyś skazał Ercillę na śmierć – dołącza do wydania sonet własnego autorstwa na cześć twórcy. Teraz już autor nie zamierza trwać przy obietnicy wypowiedzianej w pierwszej oktawie poematu, która nie pozwalała mu na szersze pokazanie jego możliwości, i dwa wątki podstawowe, opowiadające dalsze dzieje wojny chilijskiej, ozdobi pękiem historii dodatkowych, prawdziwych i fantastycznych, splecionych w jedną całość dzięki własnemu kunsztowi poetyckiemu, jakby nam chciał powiedzieć o wszystkim, co ludzkie. Jest to prawdziwie renesansowe podejście, czego historycy krytykujący dzieło nie dostrzegli, ponieważ chcieli w nim widzieć sprawozdanie z wydarzeń historycznych, gdy w rzeczywistości jest pięknym dziełem literackim:

Od siebie rzeknę, z jakim zatroskaniem

Trzymam w pamięci oraz z jakim lękiem

Wspominam słowo niepotrzebnie dane,
Ze rozpoczętą tę dokończę księgę;
Bo z tej materii suchej i niechcianej,
Tak bezowocnej, jaką wziąłem w rękę,
Mogę mieć tylko na trudy widoki,
Gdyż źle z makuchów wydobywać soki.
Kto mnie w te stoki i chwasty wpakował
Za głosem bębna i trąby chrypiącej,
Gdy mógłbym sobie po gajach wędrować,
Zbierając różne kwiaty woniejące,
Wplatając w treści, którem zaplanował,
Bajki, amory i plotki krążące,
Którymi mógłbym bez reszty się zająć,
Czerpiąc z nich radość i radość sprawiając?
Czy wszystko ma tu być walką, wrogością,
Niezgodą, ogniem, krwią i okropieństwem,
Napastliwością, nienawiścią, złością,
Zuchwalstwem, szałem, urazą, szaleństwem,
Furią, odwetem, gniewem, potwornością,
Mordem, pogromem, rzezią, okrucieństwem,
Które i w Marsie odrazę wzbudzają,

A możliwości moje przekraczają?

O ile w części pierwszej są opisane wypadki mające miejsce przed przybyciem Ercilli do Chile, a zatem zasłyszane zaledwie przez niego, to w drugiej opisuje to, co zobaczył na własne oczy i co zrobiło na nim tak mocne wrażenie, że miecz postanowił zamienić na pióro. Trudno też wykluczyć, że po publikacji pierwszej części spotkała autora przygana, że marnuje swój talent na opiewanie mało istotnych awantur z dzikusami rozgrywających się gdzieś na końcu świata, dokąd podróż trwa cały rok, zamiast się zająć tym, co dla Hiszpanii, największej potęgi na świecie, jest najważniejsze i decydujące dla jej przyszłości; a także wychwalaniem sukcesów króla, któremu on sam tyle zawdzięcza. Ercilla musiał się więc wykazać nie lada inteligencją, wyobraźnią i zdolnościami, by spoić w jedną historię opis wojny araukańsko-hiszpańskiej, dziejącej się w latach 1553-58 w Chile, z bitwą pod Lepanto z roku 1571.

Trzecia część epepei, która ukazała się drukiem w roku 1589, miała mieć w zamyśle autora strukturę podobną do części poprzedniej: dwa wątki zasadnicze traktujące o wojnie chilijskiej oplecione bukietem epizodów pobocznych. Na to wskazuje jej kilka pierwszych pieśni. Tymczasem w Hiszpanii działy się wówczas rzeczy ważniejsze, na które Ercilla, jako zawsze oddany i wierny swojemu władcy, nie mógł pozostać obojętny i musiał, bo tego chciał, wyraźnie wyartykułować swoje stanowisko w tej sprawie. Chodzi o interwencję Filipa II w Portugalii w latach 1580-83, której celem było włączenie tego kraju do jego królestwa. W ten sposób powstała pieśń zaplanowana przez autora jako końcowy akcent w jego poemacie. Należało tylko poprowadzić dokładane wątki ku temu celowi. Niestety przedwczesna śmierć poety nie pozwoliła na to przemyślane zespolenie. Dlatego trzecia część *Araukany* liczy tylko osiem pieśni (pierwsza miała ich 15, a druga 14) i sprawia wrażenie, jakby wydarto z niej kilkadziesiąt stron. Wprawia też w zakłopotanie czytelnika, który się w jej treści gubi, i jeśli nie przeanalizuje jej dostatecznie wnikliwie, powie o niej, jak nieraz miałem okazję czytać, że jest zlepkiem przypadkowych, niespójnych treści na różne tematy (mimo iż literacko jest może nawet lepsza, niż poprzednie).

„Poeta zapomniany”, część II ukaze się w poniedziałek 27 listopada 2017 r.

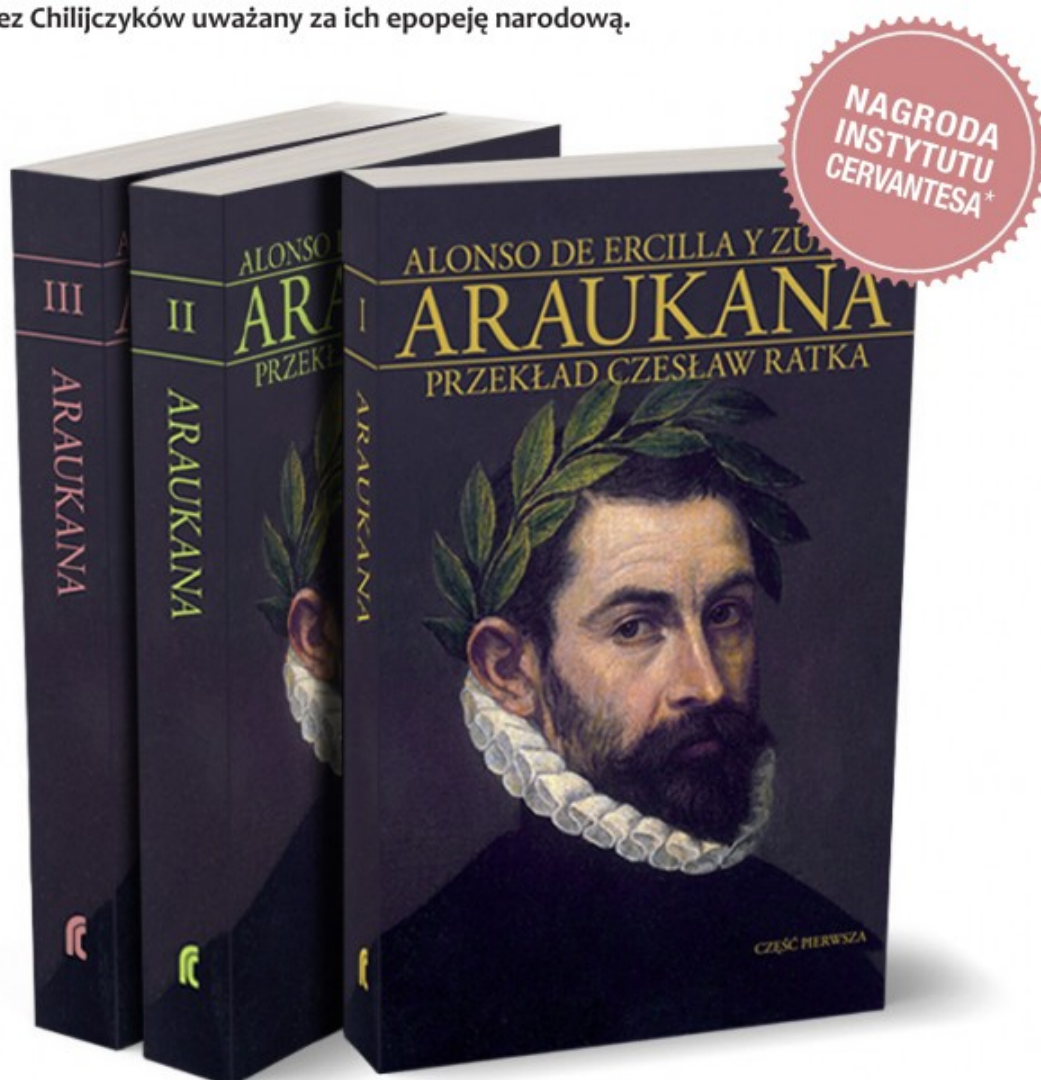
NAJLEPSZE DZIEŁO HISZPAŃSKIEJ POEZJI EPICKIEJ

PO RAZ PIERWSZY W HISTORII W JĘZYKU POLSKIM

Renesansowy poemat napisany oktawą rymowaną w układzie abababcc, opowiada w ponad 21 tysiącach wersetów historię zrywu chilijskiego plemienia Mapuczów (Araukanów) przeciwko inwazji hiszpańskiej w latach 1553–58.


Przez Cervantesa zaliczony do „najpiękniejszych kobierców poezji, jakie ma Hiszpania” i uznany za jeden z „najlepszych spisanych po kastylijsku bohaterskimi wersami, mogący rywalizować z najsłynniejszymi z Włoch”.

Przez Chilijczyków uważany za ich epopieję narodową.



* Nagroda Instytutu Cervantesa w Polsce za przekład literacki z języka hiszpańskiego – XI edycja 2013/2014

Wszystkie trzy części dostępne w Księgarni Bonobo (Kraków, Mały Rynek 8).

 Araukana – La Araucana

Czesław Ratka na Culture Avenue:

<http://www.cultureave.com/witaj-swiecie/>

Czesław Ratka (ur. 1952) - polski inżynier elektronik, tłumacz literatury pięknej z języka hiszpańskiego. Ukończył Politechnikę Śląską. Oprócz szesnastowiecznego eposu *Araukana* Alonsa de Ercilla y Zúñiga, przetłumaczył relację Alvara Núñeza Cabezy de Vaca zatytułowaną *Naufragios*, która opowiada o wyprawie na Florydę, jaka miała miejsce w 1527 roku. Z trzystu uczestników ekspedycji przeżyło ją tylko czterech

na podst. Wikipedii